



## PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

Nr 40.

Warszawa, dnia 25 Września (7 Października 1875 roku.)

Rok 11.

### CENA PRENUMERATY

Warszaw. z odn. do domu	na prow. w Cesar. i Królest.
rocznie . . . . . rs. 6 k. „	rocznie . . . . . rs. 8 k. —
półrocznie . . . „ 3 „ „	półrocznie . . . . „ 4 —
kwartalnie . . . „ 1 „ 50	w Austrii roczn. 14 guld.
miesięcznie . . . „ 50	w Prusach „ 24 marek.

### OPIEKUN DOMOWY

wychodzi raz na tydzień, we Czwartek

REDAKCJA PRZY ULICY NOWY-SWIAT

NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy; w Poznaniu w księgarni Leitgeb i Spółki, we Lwowie w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w Krakowie w księgarni A. Nowoleckiego w Wilnie, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

TREŚĆ. — Praca kobiet bogatych. — Wczoraj i dziś (dalszy ciąg). — Cnoty publiczne (dalszy ciąg). — Ślady życia. XL. — Gawędy higieniczne. XII. — Korespondencja z Lwowa. — Korespondencja z Sieradza. — Ruch w przyrodzie. — Staw księdza Opata (przekład z angielskiego (dalszy ciąg). — Od Redakcyi. — Drzeworyty: Dożynki. Rysunek A. Grotgera. — Zbiór owoców jesiennych.

## PRACA KOBIET BOGATYCH.

A to co znowu!? Alboż kobiety bogate potrzebują pracować?

Ręczyć można że na sto czytelniczek, dziewięćdziesiąt spojrzawszy na tytuł, takim uprzedzi nas pytaniem, i nie w tem nie widzimy dziwnego.

Pojęcie pracy tak jest jeszcze zamglone i tak dziwnie nawet w inteligentniejszych umysłach się płacze, że najślusniejszą w tym względzie aksjomat, najślusniejszą żądanie, paradoksem częstokroć wydać się może.

Z tem wszytkiem nie myśląc rozwijać po tysiąc już razy powtarzanych teoryj pracy, jej znaczenia i t. p. nie myśląc silić się na dowiedzenie prawdy, że im kto więcej dóbr materialnych posiada, tem silniej względem pracy obywatelskiej obowiązany się staje; przystąpimy wprost do rzeczy, a raczej do ogólnej przedewszystkiem charakterystyki naszych kobiet bogatych.

Otóż, ktokolwiek w kobiecej sferze wpatruje się uważniej, przyznać musi koniecznie, że kobiety bogate, na dwie dość wyraźnie rozdzielają się grupy:

Do pierwszej należą czyste salonowe lalki, drugą stanowią kobiety pełne dobrych chęci, żadne czynu i szerszej działalności społecznej, ale niewiedzącej co z chęciami swymi począć, jak je użyć i jak niemi pokierować.

Nad pierwszą kategorią „niebianek“ nie zatrzymamy się długo. Któż bowiem nie zna i kto nie charakteryzował w rozmaitej już formie, owych wiecznie strojnych i uśmiechnię-

tych, wiecznie goniących za hołdami, a wiecznie bezmyślnych maryjonek?...

Ściśle rzecz biorąc, są to istoty, które z poważniejszej i więcej ogólnej strony nie warto się zajmować.

Do tej sfery kobiet bogatych głos prasy nie jest się w stanie przedrzeć, bo większość z nich, zatopiona w skandalicznych romansidłach francuskich, nie wie nawet, czy prasa polska istnieje. Pań tych niedola i potrzeby społeczeństwa własnego nie są w stanie poruszyć, bo laleczki o potrzebach i interesach rodzinnego kraju wiedzą często daleko mniej, aniżeli czytelnicy niektórych pism warszawskich o Japonii lub Chinach. Te panie nie kochają nie, lub kochają pokojowych pinezów; miłość bowiem własnych dzieci przelały na umyślnie w tym celu sprowadzone pokojówki paryskie.

Być zresztą może, że i takie nawet indywidua bezmyślne, mają chwile w których uczciwszy instynkt wydobywa się na wierzch; być może, że i dla takich istot, po latach kokieterijnych marzeń, po latach młodości i po latach udawania młodości, przychodzi pewna epoka obrachunku z życiem i pytanie: co się też w ciągu swej pielgrzymki zrobiło, coraz bardziej natrętnym, coraz natarczywiej niepokojącym prześladowcą się staje. — Cokolwiek bądź, chwile podobne są albo bardzo krótkie, albo bardzo spóźnione, — i ostatecznie bogate lalki tak dla siebie, jak i dla ogólniejszych celów społecznych, zdają się być raz na zawsze przepadłe.

Natomiast godniejszą jest niezaprzeczenie uwagi, druga kategoria kobiet bogatych.

W miarę, jak prawdziwie postępowe pojęcia przenikają do różnych warstw społeczeństwa

naszego — i w miarę jak naturalny ruch w zakresie pracy niewieściej, w coraz poważniejsze i więcej praktycznych rezultatów obiecujące przyobleka się formy, przybywa i w świecie salonów, w świecie kobiet bogatych, pewne kółko takich, które mimo, że w świecie tym wychowały się i wzrosły, mimo nawet że o obywatelskiej dla każdego członka narodu, pracy obywatelskiej zbyt niewiele słyszały, — czują się jednakże jakby w obcym sobie żywiole, czują, że ich działalność nie na służeniu za modny mebelik ograniczać się winna, czują, że potrzeba żyć im jakoś inaczej, żyć pożyteczniej i prawdziwie po ludzku.

Są to jak już z góry zaznaczyliśmy, kobiety pełne dobrych chęci, pełne gorących i szlachetnych porywów, ale niestety, chęci i porywów marniejących najczęściej w marzycielskim bezczynie.

Panna X. mieszkanka Warszawy, jest właśnie jedną z takich pań bogatych. Panna X. posiada wszystkie tak nazwane salonowe talenty, uprawia „w wyższym stopniu“ muzykę i śpiew włoski, czytuje bez wyboru francuskie książki, a nawet w chwilach nudy bierze do ręki coś polskiego, lub też oddaje się malarstwu.

Panna X. ma więc dzień prawie cały zajęty, panna X. ciągle pracuje, ale z tem wszytkiem pannie X. poczyną dolegać jakaś dziwna, niedająca się jaśniej określić życiowa pustka. — Jej młode siły chciałyby stworzyć coś, coby jej głębsze zadowolenie i trwalszą nagrodę dać mogło, jej ruchliwy umysł wkracza w sferę ogólnego pożytku; panna X. marzy o tem, coby przy poważnych swoich robotach mogła zrobić dla drugich.

Z początku marzenia te, w coraz wyrazistszych i żywych bardzo przedstawiają się bar-



wach; następnie, gdy myśl nie znajduje jakiejś trwałej podstawy, zmęczona długą w błędnej krainie marzeń wędrówką, chwiał się i wahać poczyna, a wówczas zapal pierwotny gaśnie, gorąca żądza czynu ostudza się, i panna X. pasuje się w rezultacie, albo na zwyczajną salonową maszynkę albo też na emancy pantkę *falszywą*.

Otóż takich to przykładów coraz więcej w naszym świecie niewieścim, zauważyć by można, a jak z jednej strony, marowanie się tego rodzaju marzycielskich może cokolwiek, lecz zacnych w gruncie rzeczy dążeń, jest niepowetowaną dla ogółu stratą, tak z drugiej znów wszelkimi siłami staraliby się potrzeba, aby owe porywy kobiet bogatych, na korzyść właśnie ogólniejszych celów wyzyskane być mogły; aby słowem dobre chęci przy odpowiednich zasobach materyjalnych, w formę rozumnej pracy obywatelskiej zamienić się dawały.

Jaką atoli mianowicie ma być owa obywatelska ze strony bogatych kobiet praca? i w jakim kierunku, praca ta winna by się rozwijać?

Nie jednemu z obznajmionych z potrzebami własnego kraju, pytanie podobne dość dziwnie mogłoby się przedstawić, dla kobiet jednak tych, o jakie w tej chwili nam idzie, pytanie to nie będzie niezawodnie zbyt cennym, bo kobiety bogate potrzeb społeczeństwa swojego najzupełniej nie znają. W dzieciństwie nikt im o obowiązkach względem ogółu nie wspominał, następnie, nie miały od kogo pozyskać jakichś wybitniejszych w tym przedmiocie wskazówek, nie więc dziwnego, że gdy przyjdzie pora, pora samodzielności życiowej, i gdy chęć czynu zapali dojrzewające umysły, nie wiedzą zwykle, od czego najniezbędniej wypadałoby zacząć.

Naturalnie, w krótkim artykule dziennikarskim, całego programu pracy kobiet bogatych niepodobna nam kreślić; radzibyśmy jednak na jeden tu przynajmniej punkt ważniejszy i choćby w formie tylko przykładu położyć pewien nacisk wyraźny.

Dziś już co się tyczy tak nazwanej „sprawy kobiecej” opinije zarówno najbardziej zacofanych jak i najbardziej postępowych, do jednego wytycznego schodzą się punktu.

Potrzeba przedewszystkiem rozszerzyć pole kobiecego zarobku, a jak u nas i jak obecnie, jedynym rzeczy można, urzeczywistnienia potrzeby tej czynnikiem, jest praca rękodzielnicza obejmująca, najodpowiedniejsze dla sił i naturalnych usposobień niewieścich, działy.

Oto kwitensencja dzisiejszej u nas w sprawie kobiecej opinii, i... przynajmy kwintesencja słuszną. Aby jednak słusność ta przejawiała się w rzeczywistej i szeroko sięgającej praktyce, aby owo nagłace rozszerzenie zakresu niewieściego zarobku dostało się w udziale nie wyjątkom, ale całym tysiącom kobiet, najbardziej reformy tej potrzebujących, nie dość jest samej, choćby najzgodniejszej w tym względzie teoryji i niedość praktycznych ale nieudolnych zazwyczaj próbek.

Jeden, dwa czy cztery na cały kraj rękodzielniczo-naukowe zakłady, przy pobieraniu zwłaszcza dość wysokiej i *niekiedy* na spekulacyją obliczonej opłaty, nie są wystarczające,

i potrzeba raczej, aby zakłady tego rodzaju, funkcjonując w najrozmaitszych zakątkach, otwierały wstęp wolny kandydatkom, które nie dla chwilowego kaprysu, ale dla polepszenia niewesołej dziś doli, które *dla chleba* uczyć się i pracowaćby chciały.

Na to zaś potrzeba znów przedewszystkiem zdrowej inicjatywy obywatelskiej, potrzeba znacznych stosunkowo-początkowych nakładów skąd wziąć jednej i drugiej?

Otóż tutaj stanowisko *chętnych* kobiet bogatych w obec sprawy ekonomicznego wyzwolenia ich siostr biedniejszych, jasno się już przedstawia.

Nie sposobem czystej filantropii ale rozumną inicjatywą całą tę masę sił marniejących dziś w pracy bezpłodnej, lub co gorsza w przybytkach moralnego trądu, zwrócić na nową i więcej, tak samym interesowanym jak i społeczeństwu całemu obiecującą drogę, oto jedno z najważniejszych u nas zadań chwili obecnej i jedna z najwybitniejszych wskazówek: którędy praca kobiet bogatych postępowaćby winna.

Zróbcie zresztą szan. emancy pantki jakikolwiek, byleby pozytywny początek, spróbujcie własnymi siłami stworzyć choćby jeden naukowy zakład kobiecy, a ręczyć można, że rozumny i jasno określony krok pierwszy, śmielej już poprowadzi was *naprzód*.

Jan Jeleński.

## Wczoraj i Dziś

(z notatek uniwersyteckich swojego kuzyna)

przepisał  
Stanisław Wolski.

(Ciąg dalszy).

Wyprawy podobne agitował zwykle Karol. Rano w dniu przedstawienia pędził do kasy i zakupywał masę biletów na paradyz, które odprzedawał następnie. Grane pamiętam w teatrze Rozmaitości „Miód Kasztelański”, a Królikowski z prawdą, godną takiego jak on mistrza, odtwarzał postać dawnej daty szlachetca.

O godzinie 5-ej byliśmy już wszyscy pod zamkniętymi podwojami przybytku sztuki. Nie byliśmy sami, było bo więcej amatorów scenicznym widowisk, studenci rej jednak wiedli.

— A cóż u dyjabła — odezwał się po chwili na cały głos Karol, zapłaciłem złotówkę i muszę wystawać podedrzwiami — My dłużej czekamy, odezwało się w odpowiedzi kilka głosów. Żeby przynajmniej gaz zapalono bo ciemno jak w piekle, a przecież między nami i pteć piękna znajdować się musi. — Racyja, raczyja, wtorował Oleś, kobiety muszą być pomiędzy nami, bo one większy daleko od nas mają pociąg do sztuki. — Do malowanej? wtrącił na to złośliwie drobny Staś, złośliwie ale dowcipnie. Rozesmiano się na cały głos... Niechby do malowanej, byle nie do kusej, odpowiedział na to głosik jakiś piskliwy; obejrzelismy się za nim, ale że ciemno było zupełnie, niceśmy nie dopatryli. — Brawo, brawo, krzyknięto teraz chórem. — Vivat piękne kobiety i ich pociąg do wysokich. Adasiu twoje papiery idą w górę, mówił Alfons, słyszałeś, co powiedziano przed chwilą.

— Weźmie jeszcze większe kołnierzyki, prawil radykalista. — Ale tu na prawdę gorąco, moi panowie, wrzeszczał Karol, cały w potach jestem; panie konduktorze, czy jak ci tam, wołał dalej głos podnosząc, oświeć nas i pokaż nam, gdzie jesteśmy.

Za chwilę błysnęła lampa, a przeciągle o! — a! — było jej powitaniem. Poczęto się pehać coraz bardziej tak, że zaczęliśmy przypuszczać, iż się do „Miodu Kasztelańskiego” niedostaniem wcale. Otworzyły się wresze drzwi tajemnicze, i cała czereda hurmem rzuciła się na schody, dla zdobycia wygodnego miejsca w teatrze. Na schodach tych było jeszcze gorzej jak przedtem, kto w tej gonitwie upadł, nie podniósł się tak prędko, stu wpadło na niego, przesakowało, deptało. Kto zręczniejszy przesadzał po kilkanaście trepów, wyprzedzał innych, dostawał pomieszczenie niezgorsze. — Nasi górą, wołał Karol usadowiwszy się w pierwszej ławce. Alfons, Oleś, Józiu do mnie, miejsca huk — prędeż, gdy dla kogo zbraknie to szturm przypuszcimy. I za chwilę na ławie pierwszego rzędu dominowały granatowe mundury. — Brawo temu staremu jegomości w krzesłach, który nam kompanii dotrzymuje i razem z nami przychodzi na przedstawienie, choć jeszcze bardzo wygodnie mógł przybyć za godzinę, brawo — dał rubla, ale go rzetelnie, co się nazywa, odsiedzi.

— Brawo, brawo, wołano ze wszystkich stron i walono grzmiące oklaski. Nareszcie inny znów przedmiot zwrócił uwagę hałaśliwej i wesołej młodzieży. Oto jakaś mama z córeczką szuka napróżno miejsca, wszystkie pozajmowane. — Panowie, uszanowanie dla dam, woła Karol; miejsca, miejsca, i przy tych słowach usuwa się pierwszy a reszta w ślad jego wstępuje. Mama waha się trochę z początku, panienka krasnieje jak wiśnia, ale ciekawość przemaga i obie białogłowy sadowią się między nami. Akademia czuje się w obowiązku bawić damy, siedzący najbliżej panienki Józiu Nr 1 mistrz w rzeczach teatralnych, poznając po chwili że dziewczątka rozsądne, zdrowo rozumuje, kocha teatr, a czytała bardzo dużo. Józiu Nr. 1, wychowany na Virgilim i Homerze coraz więcej zapala się i dowodzi, panienka słucha, oczki spuszcza; a my dalsi śmiejemy się z pocziwego filologa. Zagadał się tak nareszcie iż kurtynę już podniesiono a on prawil i prawil o zawiłych intrygach greckiej sztuki.

Pomiarkował się jednak w ostatku, poznał iż jest celem powszechnej uwagi, i rozmowa się urwała. Powagi z łóż i krzeseł utrzymują, że paradyz hałasuje i w najpatetyczniejszych miejscach przeszkadza. Protestuję przeciwko temu stanowczo; patrzyłem na to z bliska i rzadko zdarzyło mi się zauważyć, aby prosta i kochająca dusza omyliła się w tem, kiedy oklaskami nagrodzić aktora. Boć przecież między temi pocziwemi jest i inteligencyja rozumiejąca o co chodzi, sądząca trafnie i zdrowo. Jak to już tam było, wiele razy po każdym akcie przywoływano Królikowskiego, tego opisywać nie będę, dość że kurtyna zapadła i nadeszła chwila odwrotu. Spoceni i zasapani od wrażeń i gorąca, zaczęliśmy zwolna wytaczać się ze świątyni sztuki.

Naturalnie Józiu Nr 1, ofiarował się z odprawieniem do domu swojej nowej znajomości,



Miecie wysunął się na drugiego, boć trzeba było i mamie podać rękę, reszta z nas rzuciła grzeczne dobranoc i rozeszliśmy się w różne strony.

## ROZDZIAŁ VII.

Od owego wesołego wieczoru upłynęło parę tygodni.

Duże miasto jak Lewiatan chłonie w swą nienasyconą paszczę, wszystko, co mu się nawinie. Wielkie czyny mieszają się tu ze zbrodnią, poświęcenie z brudnym egoizmem. Wszystko tu jak meteor, zabłyśnie, czas jakiś poświeci i znika, ustępując miejsca czemuś innemu. Nie ma czasu zachwycić się wrażeniem, bo już drugie nowe czeka a za nim trzecie, i tak dalej bez końca.

Nie dziw więc, że gorące głowy młodych chłopaków zapominały wkrótce tak dobrze o Królikowskim, jak i o ładnej towarzysze z paradyżu. Czy wszyscy? A tego nie powiem. Józio Nr. 1, nie darmo drałowała Nowe-Miasto, nie darmo w drodze prawdy w dalszym ciągu o sztuce, ideałach i miłości. Na pożegnanie otrzymał czuły uścisk panny, i uprzejme ze strony mamy zaproszenie którego dnia na herbatkę.

— Miły chłopak, rzekła mama zabierając się do spoczynku.

— Ładny chłopiec i wymowny, dorzuciła panienka. Wie mamusia, że wcale nie żałuję dzisiejszego wieczoru. Józio tymczasem myślał tylko o zrealizowaniu zaproszenia na herbatkę i wyczekiwał jak zbawienia tej chwili. Filolog był już jednym słowem zakochany po uszy. Biedny chłopak, ile on za to wycierpiał od nas, ile mu nadokuczał sparzony radykalista, trudno tego zapamiętać. Józio miał gorące serce, gorącą głowę, więc nie przypuszczał złego i wierzył tak silnie w poświęcenie i miłość, że trzeba mu było zazdrościć. Nareszcie wybrał się był na herbatkę ową, poszedł i wrócił bardziej jeszcze oszołomiony. — Czemu ja już nie skończył tej sztuby przekłetej, mawiał czasami, czemu ja nie mam stanowiska — chleba? Wszystko bym jej dziś rzucił pod nogi, a tak — co? Wzdychaj i gryz się, nie, ja sobie życie odbiorę.

Reflektowaliśmy biedaka, obiecując że wszystko się na dobre obróci; uspakajał się więc, ale ledwo parę dni upłynęło spokojnie, porywał się i biegł na Nowe-miasto, aby znów poić się szalem. Cudowny to bo w istocie był ten ich stosunek; takie rzeczy napotyka się w romansach i w poezji, w życiu rzeczywistym nie spotyka prawie nigdy. Namówiony przez drugich, odwiedziłem i ja kiedyś pocziwając wdowę w jej cichym domku, a było to na wiosnę, natura budziła się do życia, ptaszki pieśni swe rozpoczynały, słońce mocniej przygrzewało poczęło, a Józio i Helenka coraz bardziej się kochali, coraz bardziej żyć bez siebie nie mogli.

Był przecież jeszcze ktoś drugi, na którego wdzięki panny Heleny czarowny swój wpływ wywarły. Tym drugim był Adaś.

Pocziwiec anglik z początku nie przyznawał się do niczego, w nowomiejskim domku rzadkim bardzo bywał gościem, a zawsze sztywny i poważny, mówił z panienką nie wiele, patrzył tylko i słuchał. Wypadek go zdradził i popłatał szyki nam wszystkim. Była procesja Bożego Ciała, umówiliśmy się więc z pa-

niami, że udamy się razem do kościoła Ś-go Jana. Punkt zborny był naturalnie na Nowem-mieście. Jak dowiedziałem się później, Adaś stawiał się pierwszy, chodził długo z panną po małym ogródku, a zakochany Józio wchodząc z drugiej strony, zauważył że go panienka czule uściśnęła za rękę. Ma się rozumieć że było tego dosyć, wybuchnął jak wulkan, naprawił niegrzeczności Adasiowi, ukłonił się chłodno pannie i odszedł natychmiast. Cały plan odbycia razem processyi został zrujnowany...

Na drugi dzień jeszcze dobrze nie wytrzymał po śnie jakimś przyjemnym, gdy zastukało do drzwi. Zerwałem się na równe nogi zdziwiony tak ranną wizytą. Przedemną stał Adaś. — Co się ci stało, spytałem ściskając go za rękę i pociągając na środek izdebki. — Nie, nie, rzekł mi na to pozwól niech usiądę, piekielnie się zmęczyłem, djabelnie do was wysoko. — Aleś ty błąd coś strasznie, powiedziałem, powiedz co tam zaszło między tobą a Józiem, tylko mów prędko, dopóki śpi Karol, bo ci potem do słowa przyjść nie da. — Atak to ta właśnie nieszczęśliwa sprawa z Józiem spać mi nie dała, przyszedłem więc do ciebie po radę, co robić; jestem zdecydowany na wszystko, czy wiesz że mi takich komplementów nagadał w obec panny, iż chyba zakończymy pojedynek.

— Zmiłuj się zawołałem pojedynek między nami, między przyjaciółmi, nie to niepodobna.

— Tak, tak, powtarzał Adam, bez tego się chyba nie obejdzie.

— Zmiłuj się, rzekłem z kolei, powiedz że mi przynajmniej co to i jak to było?

— A no jak było? Józio jak wiesz zakochany w pannie a panna w nim. Szezerze ci się przyznam, że i mnie podobała się bardzo. Długo biegałem się z myślami i nie chciałem wchodzić mu w drogę, ale zawiniłem, uległem. Zacząłem bywać coraz częściej w godzinach, w których naturalnie Józia tam nie bywało; z początku rozmawialiśmy tylko o nim, powoli zeszliśmy na co innego i ani się spostrzegłem jak onegdaj z czułym uściśnięciem ręki usłyszałem „a przychodź pan przecie częściej.“ Czy dyjabł siedzi w tej dziewczynie, pomyślałem sobie, powiedziałem jej to samo, co Józio parę tygodni temu powiedział, że bez niej żyć nie mogę, popatrzyła na mnie dziwnie jakoś, uściśnęła mi rękę, wiedziałem, że jej nie obojętny. Józio widział to wszystko i oto koniec powieści. Ale widzisz, dodał po krótkiej pauzie, innego punktu wyjścia nie ma — ja postąpiłem sobie nie po koleżeńsku, on także, los rozsądzi między nami.

— Co też ty pleciesz człowieku, pojedynek, czy i my akademicy będziemy także sądów takich używać, wstydz się, porzuć te myśli, dziś na obiedzie pogadam z Julijaniem i innymi, załatwimy tę sprawę inaczej.

— Muszę ci jeszcze powiedzieć, dodał mający się ku wyjściu Adaś, że Józio jest zapamiętały zły na mnie i o zgodzie myśleć nie będzie.

## VIII.

## Pani Piotrowa.

Dla czytelnika to nie, ale dla nas było to bardzo wiele. Pani Piotrowa była jenerałnym kucharzem całej akademickiej drużyny; dawała nam życie, a jej mieszkanie było wspólnym codziennym zebraniem naszego serdecz-

nego gronka. Pocziwka kobiecina, wszyscyśmy ją kochali, ona wzajem uważała nas jak dzieci swoje i starała się dogadzać. — Pani Piotrowa chory jestem, mówił jeden, struli mię jakimś zrazami w restauracyi. — Mała rzecz, odpowiadała pocziwina, dostaniesz pan przez kilka dni tylko rosółku i kawałek mięsa i staniesz wkrótce na nogi. Tak się też najczęściej robiło; wszystko u niej było smaczne a nie kosztowne, sporządzone po prostu ale zdrowo i porządnie.

Pani Piotrowa duszą oddana była swojemu zajęciu. Niemłoda, otyła, z dobrodusznym wiecznym uśmiechem rozlanym na twarzy, typem była gosposi, nabożna przytem, ze zgrozą podawała w soboty mięso dla liberalnych akademików.

— Ja panów na moje sumienie nie biorę, zastrzegała gdy nadchodził dzień postu, grzeszcie, grzeszcie a zobaczycie; ale zresztą młodzi a do nauki sił nielada potrzeba, to wam Pan Bóg przebaczy, dodawała sentencyjalnie.

Gdy nas nie wielu było na obiedzie, lubiła wchodzić z nami w dłuższe gawędki; przezco naturalnie obiad szwankował, ale wybaczaliśmy jej chętnie te małe uchybienia. Z przyszłymi doktorami rozmawiała o medycynie, z prawnikami o jakiejś niedosłej sukcesyi, — dla matematyków i filologów nie miała tematu, chyba tylko że jej wychowaniec Staś nie się nie uczy, i to martwi ją niepomiernie.

Zacny jej małżonek był wiernym odbiciem swojej połowicy. Tłuściutki, rumiany, był jak mówił urzędnikiem a urząd zasadzał się na roznoszeniu ekspedycyj przy jakimś biurze, zawsze przytem był wesoły, zawsze w dobrym humorze. W niedzielę usługiwał nam sam do obiadu, swarząc się przytem ciągle z żoną i domagając się głosu przeważnego. Łatwo nam jednak zauważyć przyszło, że długie włosy rządzą w tym domu. Trzeba też dodać że pani Piotrowa miała przy sobie siostrzenicę, bardzo skromną dziewczeczkę, a że za całe mieszkanie miała jeden pokój i jedną kuchnię; skromna więc panienka siedząc za parawanem, wysłuchiwała czasem rozmów nie budujących koniecznie.

Wszystko szło dobrze dopóki nie przyszedł Oleś i Karol, ale z ich nadejściem zmieniała się postać rzeczy. Karol jak wiadomo we wszystkich okolicznościach życia był nader głośny. Gdy przychodził na obiad słyhać go było jeszcze w sieni.

— Pani Piotrowa, co tam Pan Bóg dał? oto zwykłe jego przywitanie, dużo kartofli do barszczu i to na osobnym talerzu, dodawał, — potem *sztuka mięsa*, potem reszta, tylko proszę prędko, i rozsiadał się między nami. Wiecie, spóźniłem się na obiad, ba a dla czego? Oto... tu wyrzywał się z jakimś niekoniecznie salonowym konceptem, przyczem trącał go który z nas łokciem pokazując na parawan, — wszyscy się śmieli, Karol niekończył rozpoczętego opowiadania, tylko pod nosem wymruknął, „dyjabli nadali“ i spożywał, co Bóg dał. Trwało to jednak nie długo, zanadto był ruchliwy, aby mógł długo wytrzymać, opowiadań miał bez liku; gdy to wyczerpał zaczęł kolegów, kłął co włożył, gdy tego było mało, obracał się do swej żywicielki. Dzi-



wna rzecz, jadł ciągle u niej na *krede* a miał największe łaski. Prawda że rzadko kontentował się jednym obiadem, dodatków było bez liku, po paru tygodniach zbierały się sumki, które niezły dochód czyniły pani Piotrowej. Oleś znowu ze swemi teoryjami i sceptycyzmem prawil czasem długo, aż trzeba go było mitygować, iż zawiele było słuchaczy. Nie uważał na nic, obalał wszystko, więc dziwne plótl rzeczy, a w głowie było gorąco, a pragnął czegoś, a nie uchwycił nigdy.

Czasami było ludno i gwaro w tym niewielkim pokoiku, gdy zeszli się razem wszyscy, gwar i hałas granic nie miał. Pani Piotrowa, dla mnie rosół, moje kotlety, od pół godziny siedzę nawet łyżki i noża mi nie dali, proszę o wszystko bo się spóźnię na prelekcję, były wykrzykniki.

Wszystko to mieszało się w dziwny jakiś gwar, gdzie nikogo słyhać nie było a wszyscy mówili. Co to jednak za przyjemne były te obiady. Tu ściągaliśmy się wszyscy z różnych końców miasta, dla wspólnego porozumienia się i gawędy; tu szły zarazem spory późno się przeciągające, aż dopiero gospodyni przerywała dysputę przypominając że czas do domu. „Pana Aleksandra to ja się zawsze boję, mówiła kobiecina, takie pan okropne wygaduje rzeczy, a przecież pan i pocziwy i regularnie płaci; poco to?” „My wszyscy tacy, mawiał Oleś, wszyscy pocziwi z dobrymi chęciami, tylko nas ocenić nie umięją. „Co też pan nie mówi? Julka mówi zawsze że panowie bardzo czasem pięknie i mądrze mówią, osobiwie p. Gustaw.” „A tak! wołano chórem, osobiwie! bo najprzystojniejszy, o tem wiemy.” „To sądy kobiece, dodawał Oleś, jak przystojny to już dobrze.”

## CNOTY PUBLICZNE

PRZES

Adama Szymańskiego.

(ciąg dalszy).

Wykazaliśmy wyżej, że nasz tradycyjny system domowego wychowywania dzieci jest pozostałością najsmutniejszych czasów w rozwoju narodu; trzymając się tych tradycy, zrywamy z najdonioślejszymi wynikami postępu, od którego niecheemy się odwracać? Wprawdzie, terażniejszy system wychowania jest arcy zbawiennym wynalazkiem, gdyż nie odrywa nas nigdy od zabaw i rozrywek, co często koniecznem byłoby w innym razie, a tak i nie męczy i niby Bogu na chwałę idzie. Tak z nami postępowało, tak nasi ojcowie robili, tak postępowało w Sparcie i Rzymie, a my mieliżbyśmy targnąć się na sławną mądrość Greków, Rzymian i swych własnych ojców?! Targnąć się na nią i wyrzec jej strupieszalej mądrości jak najprędzej nam potrzeba, gdyż jest ona najwalejszą przyczyną, tamującą szybki rozwój społeczeństwa.

Słowa moje nietrudno poprzeć faktami, nie trudno wskazać do jak potwornych rezultatów doszła nasza pedagogija, systematycznie zabijając w dziecku każdą myśl przekraczającą po za obręb dziecinnego światka. Ku temu

posiada ona obfity zapas utartych frazesów i wyrażen, nieocenionych środków zabicia w samym zarodku rozwijającej się myśli. Pierwszeństwo przedewszystkiem zdobył tu wymysł godny swojej tradycy, wyprobowany środek zamknięcia ust natrętnemu dziecku. Cała istota tego magicznego sposobu zawiera się w jednym tylko słowie „Bozia.” — „Bozia” jest to kapitalny i nigdy nie zawodzący sukurs wszystkich ojców, matek guwernantek i nauczycieli. — W takim zaś razie, gdy „Bozia” nie nadaje się do odpowiedzi, mamy jeszcze dosyć innych utartych wyrażen, zdawkowych odpowiedzi, które posiadają u nas istne prawo obywatelstwa a znajdują zawsze najszersze zastosowanie tam, gdzie myśl dziecięcia wczesniej zaczyna się przebudzać. Do cieszących się ogólnem uznaniem należą:

„Dzieci niech pilnują swoich zabawek. Mówić przy obiedzie nie godzi się. Jak urośniesz to się sam dowiesz” i zabytek Spartańskiej jeszcze pedagogii „do rozmowy starszych wtrącać się i przerywać jej nie wolno” i inne.

Te środki gnębienia myśli, w skutek ciągłego wpajania się w nasz umysł od lat najmłodszych, tak zrosły się z naszymi pojęciami, że porzucić je przy najlepszym późniejszym rozwinięciu się, bez usilnej pracy nad sobą jest rzeczą nie zbyt łatwą. Jak dawną piosnkę „Rószczką Duch Święty” tak my nieraz rozumiejąc ujemny wpływ podobnych odpowiedzi, rzucamy je na każde zapytanie dziecka, li tylko z długoletniego przyzwyczajenia. Jak zaś łatwo zastosować je można w stosunku z dziećmi przykład z życia objaśni: „Mamo, skąd to deszczyk pada?” pyta sześciolatek dziecko siedząc na kolanach swej mamy, „Bozia kochanku, z nieba go zsyła.” Ciemne obłoki zasunę lazurowe niebo, długie błyskawice i przeciągłe pioruny straszą wrażliwy umysł dziecka, tuli się więc przerażone do piersi matki i drżącymi ustami zadaje jej znowu pytanie: „Co to tak grzmi straszliwie?” „Bozia” znowu objaśni codzienne zjawisko natury. Upał zsyła „Bozia”, mróz także Bozia, „ogień także Bozia”. Jednem słowem, zawsze gdy niecheemy lub nie umiemy objaśnić dziecku czegoś w sposób zwykły i naturalny, używany na pomoc na każde skinienie „Bozi” której potęgi dziecko nie rozumie weale.

Przypuścić należy, że brak energii i wytrwałości, który w wysokim stopniu posiadamy, w znacznej części z tego wypływa źródła. Jak w latach dziecinnych przyszłemu człowiekowi objaśnia i tłumaczy wszystkie zjawiska natury „Bozia”, tak później wszystkie błędy wynikające z naszego niedbalstwa, głupoty lub lenistwa objaśniamy sobie „wołą Bożą” lub oglądamy się z założonemi rękami na „Opatrzność.” Stąd nie zwracamy uwagi na swe własne błędy, widoczna niechęć do pracy nad własną poprawą. Bardzo naturalnie, człowiek który złe spowodowane własnymi postępami, przypisuje nie sobie ale „woli Bożej” ani pomyśli o tem, że to on sam sobie winien, nie zwraca więc uwagi na swe błędy i pozostaje przy nich. Człowiek, któregośmy w dziecinnych jeszcze latach pozbawili energii, chociaż później uczuwa jej niedostatek, nie pracuje nad jej wyrobieniem, bo wiara w wszechpotę-

żne przeznaczenie ubezwładnia każdy samoistny krok w tym względzie. Nie mylimy się więc twierdząc, że brak energii i wytrwałości, cechujący wszystkie objawy naszego życia, obfity w tem źródle ma zasiłek; że stąd przeważnie wypływa, iż zamiast najsilniej pracować nad wczesnem wyzwoleniem umysłu człowieka z pod gniotącego wpływu przyrody, z którym sam Pan Bóg człowiekowi walkę nakazał, my wbrew zadaniom najstarszej idei człowieka, bo przekazanej mu od lat tysięcy, pracujemy najusilniej nad spotęgowaniem tego wpływu i pozbawieniem umysłu wszelkich w przyszłym życiu środków, do zerwania krępujących go więzów. Pan Bóg nie żąda czei takiej i niedorzuci ani jednego ziarnka na prawą stronę naszych czynów. Być może, za długo zatrzymaliśmy się nad kwestyją mającą pośredni tylko związek z podjętą sprawą; łączność ta jednak jest tak ścisłą, że odstąpienie było rzeczą konieczną.

Wskazaliśmy, jak bezmyślnie odpowiadamy na pytania, których zjawienie się jest rzeczą spodziewaną, którym dla tego powinniśmy przysłuchiwać się najtroskliwiej, cieszyć się z ich pojawienia i należycie przygotować do odpowiedzi. Jeżeli więc na pytania, do których powinniśmy być przygotowani, odpowiadamy tak niedokładnie, jakże idyiotyczną musi być każda odpowiedź na zapytania przekraczające sferę materyjalnych zjawisk przyrody, dotyczące natomiast duchowego życia ludzi, ich społecznych urządzeń i instytucy, abstrakcyjnych pojęć niedostępnych dla dziecka i t. p.

„Co tata robi zawsze na tych długich sesyjach?” pyta siedmioletni malec, siedząc przy nakrytym już stole, obok rozgniewanej niepunktualnością męża matki. „Ach! te nieznośne sesyje, prawdziwe nieszczęście, wszystko wystygnie, smak straci i to dla jakichś tam głupich sesyj? Jestem ciekawa co mu z nich przyjdzie?” Taką jest mniej więcej odpowiedź mamy, na uczynione zapytanie. Rozumie się, niezaspakaja to ciekawości malca, po cierpliwem więc wysłuchaniu powyższej lamentacyi, znowu powtarza pytanie. „Jeszcze ty tu będziesz mnie nudzić? proszę siedzieć cicho i nie dokuczać mi, zresztą jak Józio urośnie to się sam dowie!” Taką jest druga odpowiedź. Dowiedziawszy się tyle o sesyjach, ciekawy malec uważa je odtąd za jakąś fatalność, peryjodycznie zatrważającą domowy spokój w ogóle, a miłe chwile obiadu w szczególności. Zdarza się jednak, że ojciec wczesniej jak zwykle wrócił z podobnej sesyi; dwie przeciwności: błogi spokój i cisza, panujące z jednej strony, a sesija przed obiadem z drugiej zw racają uwagę malca, próbuje więc na nowo czy musienie uda dowiedzieć się czegoś o tych doniosłych w skutki sesyjach. A że pamięta odpowiedź matki, do ojca teraz zwraca się z zapytaniem. Ojciec, jak to zwykle u nas bywa uważający swą żonę za kobietę zbyt powolną, psującą dzieci zbyt niemię pobażeniem jest zapalonym zwolennikiem rygoru, a gdy humor żony pozwoli, to i wykonawcą teoryj przeciw działania, zasadzając się na tem, że zbyt nia surowość jednej połowy powinna się równoważyć zdwojoną surowością drugiej i na odwrot. Dobry humor żony pozwala zastosować ją choć na niewielką skalę: „... A tobie



co do tego, czy to ja już raz mówiłem, że dziecko tylko wtedy ma mówić, gdy je starsi sami pytają, a ty rodzicom przerywasz rozmowę i to jeszcze przy obiedzie?... Podobna moralno-obyczajowa lekcja często się kończy jeszcze smutniej.

W ten mniej więcej sposób obznajmiamy małych ludzi z ich przyszłą działalnością publiczną; w ten to a nie inny sposób doszliśmy do tego, że na zebraniach „Merkurego“ „Spółki jedwabniczej“ i innych stowarzyszeń, nieobecność  $\frac{3}{4}$  członków nie razi nikogo i jest zwykłym zjawiskiem w naszym życiu. Czy ci ludzie są winni? Nie, bo w ich wychowaniu starannie usuwano wszystko, co mogłoby rozszerzyć

szym bo publicznym interesie. Okrom ogromnego wpływu, jaki na pojęcia ogółu wywiera jego ekonomiczny stan, nie mniejsze znaczenie w tym razie ma system wychowawczy. Egoizm zaszczipiany i wpajany w młode umysły bujnie zarasta nasze nieraz najzdolniejsze głowy i długo zarastać je będzie, jeżeli nie zaczniemy uwzględniać w domowym wychowaniu dzieci, obok ich własnego „dobra“, publicznych interesów społecznych. Gdy wychowanie w zakresie swej działalności uwzględni potrzeby publiczne i wyteży wszystkie swe siły na zaszczipienie w umyśle dziecka zdrowych pojęć o obowiązkach publicznych, nie zarumienia się wtedy czoła myślących ludzi,

Rozwój ekonomiczny i umiejętne wychowanie dzieci najskuteczniej zaradza złemu; pierwszy wszedł już w nową fazę swego życia i jest nadzieja, że nie przestanie wznosić się coraz to wyżej i wyżej; drugie oczekuje na pracowników. Tu otwiera się szerokie pole działalności dla naszych matek i ojców; tu pracując, nasza kobieta najgodniej i zarazem najrozsudniej poprze ideę swego równouprawnienia.

Najnowsze wyniki racjonalnej pedagogii wymownie potwierdzają, że niezagodzi się dziecku drogi do przyszłego szczęścia, wpoiwszy w nie chęć gorliwej służby publicznej. Przeciwnie, taż nauka a za nią historia roz-



Dożynki. — Rysunek A. Grotgera.

widnokrąg ich małego świata. *Ja indywidualne* stawiano przed nimi na najwyższym piedestale, a o *ja zbiorowe*, o społeczeństwie dowiedzieli się oni dopiero po wyjściu ze szkół. Niedziwnego, że tacy ludzie, dowiadując się od kogokolwiek o istnieniu nowych obowiązków, rzucają nań pełne litości spojrzenie, uważając mówiącego jeżeli nie za zupełnego wariata, to przynajmniej za posiadającego wszelkie kwalifikacje do zakładu O.O. Bonifratrów; odpowiadają mu pogardliwym wzruszeniem ramion. Takim ludziom niepodobna zrozumieć tego, że oprócz interesu własnego, stoi przed nimi szerokie pole działalności w wyż-

uczuciem słusznego wstydu i poniżenia, bo fakta, któreśmy na początku zacytowali, przestana nas hańbić wobec innych narodów.

Teraz więc, gdy coraz częściej podnoszą się głosy, kierujące robotą około publicznego dobra, gdy samo społeczeństwo coraz uważniej przysłuchuje się tym różnorodnym nawoływaniom i w odpowiedzi na nie zabiera się do cichej i skrzętnej pracy nad sobą, powinniśmy tym bardziej zwrócić uwagę tegoż społeczeństwa, na konieczną potrzebę rozszerzania zdrowych i nieskażonych pojęć o obowiązkach publicznych, jakie każdy na swym stanowisku bezwarunkowo jest obowiązany wypełniać.

woju całej ludzkości uczy, że nie tak nierozwija młodego umysłu jak wcześnie i gruntowne obeznanie się ze sprawami publicznymi i gorliwe tychże spełnianie. Człowiek, rządzący się w życiu publicznym zdrowymi zasadami i w życiu domowym okazuje stokrotnie więcej sprężystej energii i wytrwałości, niż znikczemniały i gnuśny egoista. Przykładem wspaniałą postać Staszica—znane jego życie publiczne, a czyż nie umiał drogą godziwą, spełniając wszystkie swe obowiązki, dojść do tego, co szczęściem na ziemi nazwano, do bogactwa? Zmienić więc należy sposób postępowania z dziećmi. Równoległe z pojęciami



o jego własnych potrzebach kładźmy w młody umysł pojęcie o potrzebach i interesach ogółu. Ucząc dziecko robić dobrze sobie, uczmy je jeszcze, jak należy robić dobrze społeczeństwu. Rzućmy raz na zawsze średnio-wieczne przesady, stojące w rażącej sprzeczności z naszym w innych kierunkach postępek; chlubiła się nimi Sparta, chlubiła jezuicka rzesza, ale dla nas hańbą są one. Porzuciwszy je, wsparci ekonomicznym rozwojem kraju, wydamy inne od dzisiejszych owoce na polu naszej publicznej działalności i rzeczywiście odrodzimy społeczeństwo; wtedy dopiero „*viribus unitis*“ hasło nowej cywilizacji ze sfery pustej frazeologii przejdzie na pole praktycznego zastosowania. d. n.

## ŚLADY ŻYCIA.

### XL.

Tyle życia ile w czynie.

Nikt nie odbiera tylu hołdów, jak Melpomena i jej kapłanki. Widzieliśmy jaką ofiarę z uczuć i... złota składały na jej ołtarzu warszawscy pocziwcy, otóż prowincja także dzielnie naśladuje nas w tym względzie. Słyszeliśmy np. niedawno, a słyszeliśmy z ust nader wiarogodnych fakt następujący. W jednym z miast prowincjonalnych zajaśniała talencikiem młoda i ładna aktoreczka. Stugębna fama rozniosła wnet wszędy jej imię, tysiące serc młodych i starych zawrzało uwielbieniem, tysiące kieszeni zabrzęczało dźwiękiem mamony. Bogini była w zachwycie i wystarczało to jej zupełnie, wielbiciele atoli zapragnęli złożyć gorętszy jeszcze dowód uznania, zapragnęli mianowicie nieśmiertelnie kapłankę *trykotowej sztuki* (zachwycała w *offenbachjadach*), w dźwięcznym tonie pieśni. Że na nieszczęście w pojedynkę nikt jakoś nie mógł się zdobyć na „coś godnego“, postanowiono skutecznie zamiar *viribus unitis* i w tym celu wysadzono z grona inteligencji miejscowej oddzielną komisyję. Po długiej mozolnej pracy szczególnie komisyja dokonała dzieła, poczem jednego z członków wydelegowano do Warszawy, aby się postarał o umieszczenie wspaniałego sonetu w jakim piśmie peryjodycznem. Najlepsze z tem wszystkiem chęci i mozolna praca pozostały bez żadnego skutku, redakcyje bowiem do których kołatano nie poznały się na wartości utworów. Co za szkoda... co za szkoda...

W dwuznacznem bardzo świetle stawia się instytucja publiczna, jeżeli z nieokreślonych jasno powodów, otacza się jakąś tajemniczością, zakrywa przed światem wewnętrzne sprawy swoje. Notujemy tu fakt autentyczny. Jeden z literatów naszych pragnąc skreślić dzieje stowarzyszenia, które po długim, bardzo długim odrętwieniu, zaczęło jak się zdawało dawać pewne oznaki życia, zwrócił się do zarządu z prośbą, aby mu pozwolono z pierw-

szych źródeł skorzystać. Pan prezydujący oświadczył jednak, że archiwum stowarzyszenia jest pewnego rodzaju sanktuarjum, do którego wstęp udzielonym być może tylko w wyjątkowych razach, za zgodą wszystkich członków zarządu i na najpierwszem posiedzeniu rzecz tę pod decyzję przedstawił. Rada udzieliła odmowną odpowiedź, nie określając żadnego słusznego ku temu powodu. Złośliwi podejrzewają zaraz, że przegląd akt i protokółów stowarzyszenia, rzuciłby nie zbyt korzystne światło na dotychczasową działalność jego członków, wykazując fakta które uważano za stosowne pominąć w ogłoszonym publicznie sprawozdaniu. Nie wchodząc w to o ile złośliwcy mają rację, sądzimy, że każda instytucja publiczna nie powinna bać się jawności, jeżeli nie chce stracić wiary u ogółu.

Święty to obowiązek poprzec gorąco talent prawdziwy i rzetelną zasługę, to też nie wątpimy ani na chwilę, że publiczność warszawska zbierze się tłumnie na koncert znanego kompozytora p. Adama Münchheimera jaki się w przyszłą niedzielę odbędzie. Program koncertu wypełnią wyłącznie własne utwory koncertanta, który i z tego jeszcze względu zasługuje na szczere i serdeczne uznanie, że odziedziczywszy po ś. p. Moniuszce, zaczął myśl wspierania młodzieży uniwersyteckiej, poświęca na ten cel niemało czasu i zabiegów.

Niech tam pesymiści narzekają sobie na leniwe tętna życia naszego, niech tam rzucają gromy na to, że nam ciężko się jakoś wydobyć na szersze drogi rozwoju, my powiemy, iż dobrą w nas budzi otuchę ta okoliczność, że lubo zwolna, zawsze przecież naprzód jakoś idziemy. W niektórych szczególnie a doniosłych sferach życia objawiają się wielce obiecujące na przyszłość zaczątki. W ostatnich np. czasach jak już donosiliśmy o tem w „Opiekunie“, z funduszów pana Leopolda Kronenberga powstała tak nad wszelki wyraz potrzebna i pożyteczna instytucja, jak wyższa szkoła handlowa, a obecnie już znowu myśli się o tem, aby o krok ważny na tej się drodze posunąć. Robią się zabiegi by otworzyć i niższy z podobnym kierunkiem zakład naukowy, mianowicie zaś 5-cio klasowe progimnazjum realne. Progimnazjum ma powstać ze składek prywatnych, a że i tej dobrej myśli p. Kronenberg jest promotorem, nie można wątpić, iż zamiar w czyn się nie długo zamieni. Mówią coś także że dla kobiet ma być otwartą specjalna szkoła handlowa.

## GAWĘDY HIGIENICZNE I LECARSKIE.

### XII.

#### Dyjetetyczna recepta przy cierpieniach brzusznych.

z Prof. i D-ra Boche'a podał St. W. Lukowski.

Pod nazwą *cierpień brzusznych*, rozumiemy dolegliwości powstające w skutek utrudnionego krążenia krwi w żyłę wrotnej—t. j. w tych naczyniach, które przeprowadzają krew z żołądka, kiszek, śledziony i trzustki, do wątro-

by, a stąd, przez żyłę główną dolną, do prawego przedsionka serca.

Stan chorobowy, o którym tutaj jest mowa, zowie się także *zawałem żyły wrotnej, zastojem brzuszny, cierpieniem hemoroidalnym lub przekrwieniem brzuszny*, i stanowi toż samo cierpienie, przeciwko któremu większość lekarzy zaleca siarkę i karlsbadzkie wody mineralne. Pomieniony stan chorobowy napotkać się daje przeważnie u osób prowadzących sposób życia siedzący, (szczególniej w postawie pochylonej), przy braku ruchu na świeżem powietrzu i przy obfitym pożywym pokarmie; stan ten rozwija się głównie wówczas, kiedy obok siedzącego sposobu życia oraz zbyt obfitego pokarmu, ma jeszcze miejsce natężona praca umysłowa, częste użycie napojów wyskokowych, przysięgające wzburzenia moralne, i częste przyjmowanie mocno przeczyszczających środków. U kobiet zaś, rozstrojeniu krążenia krwi w żyłę wrotnej, sprzyja mone zawiązywanie spódnie, oraz noszenie gorsetów i sznurówek, uciskających wątrobę. Dolegliwości towarzyszące rostrojeniu krążenia krwi w żyłę wrotnej, występują najwyraźniej u urzędników hemoroidalistów i u hipokondryków. Z początku są one małoznaczne, posiadają bardziej *miejscowy charakter* i polegają na nieprzyjemnem uczuciu ucisku i pełności w górnej okolicy brzucha (szczególniej po przyjęciu pokarmu), na uczuciu ściskania w piersiach, połączonem nierzadko z bardzo silnemi kolkami, na rostrojeniu apetytu i nieprawidłowości wypróżnień (raz bywa zatkanie stołca to znów biegunka), na zjawieniu się bolesnych guzów na okół odbytu. Powoli, przy powiększeniu się wyżej wskazanych dolegliwości miejscowych, oraz przy coraz bardziej wzmagającym się rostrojeniu odżywiania, następuje i ogólny upadek zdrowia, wyrażający się: brakiem ochoty do pracy, ponurem usposobieniem ducha, drażliwością, tęsknotą i niemocą.

Przy cierpieniach brzusznych, należy starać się o zmuszenie strumienia krwi żyły wrotnej do krążenia ku wątrobie i po niej, nie zaś o przyciąganie krwi żyły wrotnej do prostnicy (kiszki odcchodowej), za pomocą przystawienia pijawek do odbytu, jak to czyni niewłaściwie wielu lekarzy. Prócz tego, dla usunięcia cierpień rzeczonych, okazuje się koniecznem: wzmocnienie czynności serca i narzędzi oddechowych, przyspieszy ruch żołądka i przewodu pokarmowego, odpowiedni skład krwi w żyłę wrotnej i usunięcie mechanicznego ucisku brzucha przez zbyt ciasną odzież. Recepta zatem nasza będzie następująca:

Rec. Stosowny ruch <sup>1)</sup> na czystem powietrzu. Mocne oddychanie, <sup>2)</sup> a szczególnie głębokie wdychanie.

Należyte wypróżnienia <sup>3)</sup>, lecz nie za pomocą środków przeczyszczających.

Umiarkowanie i prostota w pokarmie i napoju <sup>4)</sup>, zwłaszcza pożywienia niepobudzające.

Obfite picie wody <sup>5)</sup>, mianowicie ciepłej. Swoboda brzucha. <sup>6)</sup>

S. Wykonywać to według możliwości w pięknej okolicy, w przyjemnem towarzystwie, i przy wesołym usposobieniu, ducha, w daleki od zatrudnień wiazkowych.



Co do 1-go) Oprócz *przechadzki na świeżem powietrzu*, radzimy nadto: grę w kręgle, rznięcie drzewa, pracę ogrodową, gimnastykę nóg, wspinanie się na góry, oraz od czasu do czasu ugniatanie, uciskanie i opukiwanie brzucha, ruch tułowia (t. j. leżąc w znak, zwolna podnosić tułów aż do położenia siedzącego).

Co do 2-go) *Głębokie wdychanie* (rozszerzenie klatki piersiowej), wywiera dla tego wielki wpływ na obieg krwi w brzuchu, że przy niem krew (podobnie jak przy działaniu pompy) zostaje wessana z wątroby do piersi, przez co, wszystka krew żyła wrotnej łatwiej może płynąć naprzód i wstępować do wątroby. Należy często podczas dnia, zwolna i głęboko wdychać dobre rozumie się powietrze. Z początku jednak, do rzeczonoego wdychania trzeba się przyuczyć.

Co do 3-go) *Wypróżnienia* powinny mieć miejsce bez użycia środków przeczyszczających; jedynie, w razie bardzo uporczywego i dłużej trwającego zatkania stolca, można zastosować lewatywę (z ciepłej wody i nieco oliwy). Pożyteczne są także owoce i komputy owocowe, ułatwiające wypróżnienie jak np: śliwki, winogrona (lecz bez skórki i pestek) jabłecznik i t. p. Zresztą, należyte zachowanie podanych wyżej przepisów, zdolnem jest, bez żadnych innych środków pomocniczych, przeprowadzić zwolna stolec do normalnego stanu.

Co do 4-go) *Pokarm* nie powinien być zbyt obfity i tłusty, zbyt pożywny, niestrawny i sprawiający wzdęcie, palenie i drażnienie, — lecz prosty, łatwo strawny, niepobudzający; słowem, najlepsze są potrawy dobrze przygotowane po gospodarsku. Z napojów, trzeba unikać takich, co zawierają w sobie wyskok, (wódka, wino, i t. p.); lekkie piwo jest dozwolonem. Umiarkowanie, prostota, prawidłowość w pokarmie i napoju, stanowią połowę kuracyi.

Co do 5-go) *Obfite picie wody*, pomagając do rozrzedzenia zgęstniałej krwi w żyłach wrotnej, wspiera obieg jej przez wątrobę. Tutaj to rzeczywiście przynosi woda nieoszacowane korzyści. Ażeby jednak nie zaziębić żołądka zimną wodą, lepiej jest pić wodę ciepłą, t. j. takiej temperatury, jakiej bywa zazwyczaj kawa lub herbata.

Co do 6-go) *Swobodne rozszerzanie się brzucha*, stanowi bardzo ważny warunek; jest ono koniecznem do obiegu krwi w jamie brzusznej. Trzeba więc wystrzegać się ciasnej odzieży (która szczególnie jest szkodliwą dla kobiet), oraz dłuższego siedzenia w postawie pochylonej (zwłaszcza wkrótce po jedzeniu); natomiast, wypada nosić zawsze odzież przestroną i starać się według możliwości o prostą postawę przy siedzeniu.

## Korespondencyje Opiekuna Domowego.

Lwów, dnia 30 września 1875 r.

Lwów się odradza, odświeża i rozrasta, a źródłem jego rozrostu, oczywiście topograficznego, jego odrodzenia i odświeżenia naturalnie zewnętrznego, tem źródłem: wapno, piasek, woda i gips. Powstają nowe budowle, pokostują i blanszują się kamienice staruszk, pamiętające jeszcze niektóre wiek XVI-ty,

słowem zaciera się do ostatka cecha miasta starego.

Już tylko kilka matron zgrzybiałych pozostało w rynku głównym, przy ulicy Ormiańskiej i kilka kościołów, areszta, niby caca, niektóre nawet różowane (w tej barwie tynku kochają się osobliwie nasi bracia, po niechlujstwie chyba — Izraelici).

Daruję mi czytelnik, że muszę tu zrobić drugi nawias, nie ujęty w kłamry, ale muszę. Mówię że Izraelici są bracią po niechlujstwie, ale do tego *nasi i nasze* nikt się nie przyzna, i słusznie, bo mowa tu o samorządzie komuny miejskiej. Ona to prześwietna i sławetna czuwać ma nad porządkiem i czystością miasta, że zaś jest to czuwanie rządu reprezentacyjnego, samorządne, niech zatem sama odpowiada za usterki takie jak dziurawe trotoary, kupy śmiecia i gnoju i ciemności nieraz egipskie, koło 9-tej wieczór.

Dawszy taką reprimendę sławetnej magistraturze miejskiej, z której ona oczywiście nie a nie sobie nie robiła, nie robi i robić nie będzie, wracam do odrodzenia i rozrastania się korpusu murów lwowskich. Prócz domów prywatnych, o których później: kończy się w bieżącym roku budynek na szkoły realne i gimnazjum polskie czyli Franciszka Józefa, które dotychczas tuła się w komornem w murach ratusza i bernardyńskiego budynku. Na Nowym Świecie skończony zostanie także w bieżącym roku gmach dla akademii technicznej a z rokiem szkolnym 1876 w jesieni, będzie oddany na użytek oby jaknajliczniejszemu adeptom zawodów niezależnych. Kiedy tak rośniemy wszczegółowo do obrębu murów, to może urośniemy i w górę, umysłem, wytrwałością i sercem, coby się bardzo zdało. Powiedziawszy o przybytkach naukowych wyższych i średnich, nie od rzeczy będzie wspomnieć i o dwóch niższych jeszcze. Świetna komuna oprócz budynku gimnazjalnego zdobyła się na jeden jeszcze dla szkoły ludowej, na przedmieściu Żółkiewskie; kończy się kosztem miasta szkoła zwana św. Marcina, ponieważ przy kościele tejże nazwy staje. Ludową nareszcie czteroklasową szkołę ewangelicką przeniosła też gmina do własnego budynku w roku bieżącym. Ten ostatni budynek został wzniesiony ofiarą i składkami czysto prywatnymi członków wyznania ewangelickiego. A jak raźnie wzięto się do tego, dość powiedzieć, że przed dwoma laty był dopiero projekt, dopiero podawano do władz o pozwolenie zbierania dobrowolnych składek, a tego roku wszystko już gotowe. Ręczę że w wykonaniu przypisać należy temu, że pomiędzy wyznawcami zreformowanej religii jest większa część Niemców, przynajmniej z rodu, a ci wiadomo, że nie potrzebują od nas kupować wytrwałości.

Dodajcie do powyższych wymienionych publicznego użytku budowli z pewnością setkę kamienic prywatnych i osadźcie, czy to nie nowa manija, jaką była przed kilku laty gra gieldowa? Nie jednak bez ale. Otóż pomimo, że przybywa co roku tyle a tyle mieszkań, ceny ich podnoszą się ciągle szalenie. Gdybyż to jeszcze każdemu dane było zamieszkać w nowym budynku, ale na to za mało nowych, a za dużo starych, na zewnątrz tylko, jak mówiłem, nablanszowanych i wyróżowanych. Ale

co w środku, ale jakie ceny za ten blansz i róż, nie do wiary, ceny to bowiem nie praktykowane w żadnym z miast europejskich: za dwa pokoiki z kuchnią 30 guldeników! To nie wiele, panie dobrodzieju, powiada właściciel pierwszy lepszy. Gdybym tak miał, twierdzi na poparcie argumentu o taniości, gdybym miał tę kamieniczkę na ulicy Jagiellońskiej albo Majerowskiej, tobym wziął za te pokoiki miesięcznie 40 guldenów, ani grosza mniej.

Trudna jak mówię rada na to, ale najsmutniejsza rzecz, że nie ma rady na niesumienność, i na nieuczciwość. Bo trudno to nazwać inaczej, gdy za rudery każą sobie płacić jak za najwygodniejsze apartamenta. Lament ten powszechny nieposiadaczy domów odzywa się coraz głośniejsz, alternatywa zaś taka:

— Nie jedz, nie pij, chodź boso i nago, ale płac nam dobrze za mieszkanie, jeżeli co branknie to sobie kup, dziurawe drzwi, to sobie spraw, opadły ramy z okien, to dostaniesz u stolarza, wali się komin lub piec, to zawołaj mularza i zapłać mu; lub jeżeli ci się podoba to siedź i w takim mieszkaniu. Tylko jeszcze jedno, ja nie dam ani centa na restauracyją, bo nie proszę się z moim mieszkaniem; nie ten, to inny, a zawsze ktoś najmie.

A potem wszystkiem, gdy się znalazł lokator i zrestaurował własnym kosztem, w nadziei, że zrobił dla siebie, to niezawodnie pan właściciel wymawia mu za miesiąc, bo ma innego lokatora, który, „daje mi więcej.“ Ależ ja miałem koszta — twierdzi nieszczęśliwy lokator. — A co mnie to obchodzi, daj pan więcej, to i pan zostaniesz, a nie to przyszłe sądowe wypowiedzenie. Jakoż tak czyni i jeżeli lokator wniesie zarzuty o koszta, odsyła go na drogę procesu długo trwałego i najczęściej bezskutecznego; albowiem, smutna rzecz ale prawdziwa, pan domu znajdzie zawsze przekupnych świadków i kłamliwych taksatorów. I nie fakt to jeden, ale powszedni chleb, którym żywią we Lwowie szczególnie klasę średnią, najczęściej inteligentną, ciężko na chleb pracującą w biurach lub w szkole. Fortuna idzie we Lwowie w parze, ale nie z pracą, nie z rozumem, tylko z przewrotnością i z sobkostwem. Mają też sądy karne do czynienia aż po uszy, i długo zapewne potrwa ten okres robienia majątków na drodze zdzierstwa i przebiegłości, zanim prawdziwa oświata obejmie szersze koła, licząc się dziś do inteligencji dla tego, że mają tamtej potrzeby, chimery i nawyknienie a nie mają mimo to poczucia obywatelskiego. Coby to na przykład powiedziano w Europie zachodniej, gdyby kupiec lub przemysłowiec, a nawet i rzemieślnik, głosił takie opinie o swoich pomocnikach kantoru, zakładu i warsztatu, z jakimi spotkać się można we Lwowie na każdym niemal kroku... Brzmiały one w ten sens: „Wiem ja panie, że ten szelma X. czy Y. kradnie, no ale kradnie przyzwyczajenie, nie zrujnuje mnie. To panie zwykła kolej, zacyboby potem kiedyś otworzył zakład, musi kraść, ja sam panie byłem tem czem on dzisiaj i miałem zawsze *poczciwość* (?) jaki zarobek przy moim pryncypale — no a patrz pan, czyliżem go zrujnował? On dziś większy już pan i co mu to szkodzi, że i ja sobie teraz



na własną rękę prowadzę warsztat. Taka kolej już... i co tam, cały świat kradnie, żeby tylko nie skrzywdzić!”

Czy nie ohydniejsze to od najskrajniejszego komunizmu, a jednak świat taki, atmosfera, nie zmyślone, egzystują, mają przeróżne pretensje i ambicje nawet. Z tego świata wybierają obywatele lwowscy swoich reprezentantów do sławetnej komuny, radców, których obowiązkiem kontrola grosza publicznego. Tu często szwankuje mocno powaga sławetnych, szczególnie, gdy się zetkną z fachowymi urzędnikami komuny, nad którymi mają niby czuwać. Powaga ta wówczas obraca się w śmieszność i to zawsze, gdy w ważnej i głównej rzeczy na radzie poszli za głosem rozważniejszym

czterech sążni, widział na oko nie przykładając miary do końca, ile trzyma każdy z bali, toż samo z grubością. Nie zdawała się dobrą taka, jak mówił pankontrolerszewe, „wiarana oslepić” i dawać mierzyć samemu. Szło mu to niezręcznie i za długo, toż nareszcie oburzony budowniczy odzywa się z powagą na pozór: „Wie pan co, gdybyś wtrącał się przy odbiorze kamieni, toby mnie to nie dziwiło, bo jako szewe wiesz zapewne na jakich kamieniach zdiera się buty najprędzej, ale drzewo, drzewo!”... Rozśmieli się obecni, sławetny rajca skonfundował i na tem skończyła się kontrola niedorzeczna. Tak tedy niewiara, podejrzenie, nieufność na każdym kroku, choćby mieli z aniołami do czynienia, ale jeżeli ten biały nie

wyjątkami i dla tego wyjątkowem jest jego położenie: Okres, z którego wyszły już społeczeństwa dojrzałe zupełnie, gdzie nie kilku za tysiąc myśli a resztę popycha do działania, ale każda jednostka niemal jest ważnym czynnikiem. U nas marnuje lub ściiera się jeszcze wiele energii, sił na tej pracy, która rozprysnąć się musi na setne odnogi, gdyż brak w nich czynników z myślą. A i w tych szeregach bezmyślnych, nieruchomych, jeżeli staje człowiek działający w imię dobra społecznego, to za myśl, za radę, znajduje zamiast poparcia i uznania tysiące przeszkód, podejrzeń i oszczerstw. Takie koleje przechodzi każde powstające we Lwowie stowarzyszenie, choćby statuta jego były najeżone jak częstokołem.



Zbiór owoców jesiennych.

a później widząc, że są nieczem, chcą przynajmniej w drobnostkach dowieść gorliwości i rozumu. Poleci, dajmy na to, Rada kilku panom rajcom, ażeby byli obecni przy odbiorze jakiego materiału dla gminy, to lecą tam chętnie, ale zamiast czuwać nad trwałością rzeczy, doborem i liczbą ogólną, wchodzą w drobnostki na których się nie znają i zbierają śmiech tylko. Sam byłem świadkiem niedawno, jak wydelegowany do podobnej czynności szewe, obywatel miasta Lwowa, brał się niezręcznie i niedorzecznie do obowiązku. Przedsiębiorca składał bale, których grubość i długość mierzył budowniczy miejski. Jako człowiek fachowy, zmierzyszy długość trzech do

ma nabitej kieszeni, to „hołysz mocidzieju, a zatem złodziej panie, bo z czego by to żyło.” Ale za to nepotyzm najobrzydliwszy tam, gdzie rzeczywiście idzie o znaczne kwoty: wszystkie ważniejsze i zyskowniejsze przedsiębiorstwa choćby ze szkodą gminy bierze zawsze familija. Jest i na to pewna zasada, argument dosadny: „Po co to ma zabierać jakiś przybłęda, jakiś hołysz (a takim każdy, co choćby przybywał z za rogatek lwowskich), po co kiedy to może zostać między naszymi; taki co swój, to swój, a to wszystko nasza praca.”

Nie są to bez wątpienia dodatnie strony, ale przeciwnie, to też społeczeństwo trzyma się

obwarowaniami i zastrzeżeniami. Ile to było naprzykład krzyku i zgorszenia w zastępie za-cofańców, gdy we Lwowie podniesiono myśl założenia towarzystwa pracy kobiet. Huknęła najprzód prasa ultramontańska, że towarzystwo to będzie arcyheretyckie, ponieważ, o zgrozo! przypuszcza i cory Izraela do współudziału. I nie przestano się oburzać, dopóki nie zmodyfikowano odnośnego paragrafu. Towarzystwo to, dzięki energiczniejszemu założycielkom utrzymało się jednak i dziś zapewnia już utrzymanie wielu kobietom.

Jedno tylko towarzystwo cieszy się względami sfer arystokratycznych, o reszcie wiedzieć nie chcą, ale jedno wyjątkowe „dam do-



broczynności,“ to co innego. Nie poczytuje sobie za obowiązek zdawać rachunku ze swoich czynności, o czem pisałem już, zeszłego roku, ale dla czego? Obecnie wiem już dla czego stoi po nad opinią publiczną. Towarzystwo to pseudo-arystokracji galicyjsko-austriackiej nie wstydzi się żebrać, chodzić po kweście pomiędzy motłoch, ażeby potem grosz tym sposobem wyludzony, rozdawać próżniakom i utracyjuszom.

Pańska żebrania odbywa się pod hasłem: „na wstydzących się żebrać,“ a rozda je ludziom wstydzącym się nieżebrac, ale pracować. Tamei tymczasem, którzy służą za parawan, zbierają od pań i dam komitetowych morały i trzy kwitki na tydzień na trzy funty krup lub maki...

Ale dość tych faktów, aczkolwiek nie bardzo pocieszających, wszelakoż nie tak znowu smutnych, bo gdzie się podnoszą przybytki nauk, rzemiosł i sztuk, to jest usprawiedliwiona nadzieja, że lepiej będzie. Do rzędu zakładów, których nie wyliczyłem na wstępie, przybywa jeszcze zakład w Drohowyżu, w powiecie Żydaczewskim. Fundacja to hr. Stanisława Skarbka. wechodząca nareszcie w życie. Stała już gmach, choć nie cały jeszcze, a już objętością dorównywały budynkowi teatru lwowskiego. Na razie otwarty będzie zakład dla 600 sierot, które pobierać tam będą nauki i uczyć się rzemiosł; dyrektorem został mianowany pan Julijusz Sztarkel. Zwierzchniczą opiekę nad zakładem ma oprócz kuratora księcia Jabłonowskiego, wyłącznie Wydział krajowy. Skoro mi czas pozwoli, nie omieszkam zbiedz na miejsce do Drohowyża, bo mił to kilka ze Lwowa, i opiszę bliżej ten niezawodnie bardzo ważny zakład. Cóż to bowiem za różnica: sześćset sierot, sześćset głów, zmarnowanych, lub co gorzej straconych nieraz dla społeczeństwa, a sześćset dusz, nakarmionych światłem wiedzy, pokierowanych do zawodów praktycznych przez światłych i zdolnych nauczycieli.

Nie tak za to podniosłe, choć może wesoło wyglądają mury teatru, założonego przez tegoż czeigodnego fundatora hr. Skarbka. Od czasu restytucji dyrekcji dawniejszej, to jest od objęcia jej przez pp. Dobrzańskich, repertuar prawdziwie Szekspirowski!! naprzykład: *Gioffe i Gioffa*, *Córka straganiarza*, *Dwaj złodzieje*, *Tricoche i Cacolet* i szereg innych hec niemieckich znowu, z podlewanym miejscowych niedorzeczności i z tytułem z bruku lwowskiego. Dobra to rzecz wprawdzie śmiech i trosk zapomnienie, ale czyż to racja, dla której Melpomena ma przywdziać już raz na zawsze czapkę pjaconską czy to jej zadaniem? jak śmiech tak i ból ma swoje prawa, ten drugi kto wie czy nie możniejsze. Można wprawdzie zasłonić się gustem publiczności, ależ bo i smak wyrabia się nie ślepego schlebaniem, ale stosownym wyborem, a tu bez wyboru, byle farsa, to i dobra, a o poważniejszym choć trochę kierunku ani się nie myśli. Mamy kilka talentów wcale nie do pogardzenia, jak pani Nowakowska, Deryng, Woleńska, Ładnowski, Fiszer, Zboński, ale i te zmarnieją, jedne nie użyte wcale, a inne używane tylko do ról Tereferciów. Nie można powiedzieć, żeby dyrekcja nie starała się o nowości, o gościnne występy, ale to wszystko

wyłącznie w kierunku jednostronnym. Dramat, a zatem życie na seryo i przejawy jego, jakby nie istniały dla dyrekcji. Występowała tu w kilku operach pani Wanda de Bogdani, która zasłynęła nie tylko z talentu, ale i z procesu głośnego w Wiedniu, występowała tą razą z mniejszym powodzeniem. Po jej wyjeździe, opera pozbawiona została znowu primadonny. Publiczność jednak nie uczuje tego i nie poskarży się na brak, bo jak na teraz farsy i operetki zastąpią wielką operę. Nie może się zresztą Lwów skarżyć na brak hecek w ogóle, zaledwo wyjechał jedną rogatką pan Kahlenberg z menażeryją, w której nie było wielu rzeczy, jakie być miały, a właściwie były, jak mówił Niemiec — tylko to trzeba umieć patrzeć — otóż ledwo się wyniosł, a już ci przez rogatkę od wschodu nadeignął pan Suhr z kołmi, sylfmi skaczącymi przez obręcz, z nimfą, która toczy kulę i spaceruje z ręcznikiem na niej, z trefniami i kołmi, które mogłyby tańczyć kontredansa w najpierwszym salonie i tańczy go rzeczywiście. A, a jeszcze — byłbym zapomniat, jak to Niemiec ogłasza — oto: „Kadryl jeżdżony z manewrem przez ośm panów do ośmiu dam“. a potem „człowiek latający i pan Almasio w komicznej scenie z osłem“ i t. d. i t. p. Czyliż to nie dosyć przeczytać takie ogłoszenie? Ja też korzystam z tego, czytam i ubawię się doskonale nie będąc w cyrku.

Przybyło i nowe pismo codzienne p. t. „Goniec Lwowski“, który, nie wiem ażali co ugoni, bo że uroni, to niezawodnie kilka tysięcy na druk i papier. Trudno co powiedzieć o tej bodaj, żeby nie efemerydzie nowej. Drugie to już z cechą czysto miejscową, pismo, jedno bowiem. „Kuryjer“ istnieje od końca roku ubiegłego i dogadza jak może publiczności, a jednak nie może rozbudzić ochoty do czytania. Wzięty się za ręce bieda z lenistwem i zabijają wszelką ciekawość. Ludzie piśmienni i zamożni często, nie przeczytają ogłoszenia w dzienniku, choć by ono tyczyło się najbliższych interesów mieszkańców miasta, ale idąc pytają gawiedź uliczną: co to tam „wybębniat“ — taki bowiem tu zwyczaj, że ważne sprawy np. o porządku na ulicy, o psach bez znaczków — ogłasza komuna przez usta pacholka, zwołującego muzyką bębna uszy chętne ku słuchaniu.

Skarżą się też żałośnie księgarze i wydawcy na tę obojętność mandaryńską, ale cóż to pomoże — nie ciekawimy i — rozumni. Mimo to przybywa niebawem jeszcze jedna nowa księgarnia, a założycielem jej jest literat p. Zawadzki Władysław: księgarnia spółki literackiej. Chociaż życzymy jej czytelników miljon — musimy powiedzieć: zobaczymy. Zresztą zmieniają się czasy, może też i publiczność galicyjska pomyśli o zmianie gustów, a może przyjdzie jej to niespodzianie i ani się opatrzy, jak zaczęnie być rozrzućną na książki, czasopisma polityczne i literackie a może i naukowo-literackie. Gotów jestem prosić szanowną redakcję *Opiekuna Domowego*, żeby pozwałała ogłaszać drukiem każdego nowego prenumeratora i czytelnika w Galicyi i naprzód ręczę w wszystkim, urodzonym już i posiadającym sztukę czytania a nie czytającym, że skutek prośby będzie dobry, i że imiona ich podane zostaną po-

tomności, jako pionierów czytelnictwa w puszczy głów niezajętych tą piękną uprawą umysłów...

T. S.

Sieradz, Październik 1875 r.

*Ecempla docent*, mówi łacińskie przysłowie. I rzeczywiście, wieleznaczące te słowa o Sieradzu pod każdym względem mogą być wypowiedziane, bo emancypuje się on w całym znaczeniu tego wyrazu: Jak w stolicach, [wielkich i większych miastach europejskich, tak samo na naszym partykularzu, od pewnego czasu można poznać, iż owa tak nazwana *saison morte* już ustąpiła. Pacjenci powracali z zagranicznych *badów* na leże zimowe do swych ognisk domowych; ale to szczególne i niezwykle, że słabszymi jeszcze powrócili. W istocie, znam kilka osób, które po wodach krajowych, lepszym aniżeli miłośnicy wód zagranicznych cieszą się zdrowiem; ostatni bowiem pokładli się w łóżka, a przed nimi sto lekarz piszący recepty.

Mówiąc o lekarzach, a chcąc niniejszej korespondencji nadać łańcuchowy charakter, czuję się w obowiązku wspomnieć o stanie sanitarnym miasta i okolicy. Panującą chorobą między dziećmi jest obecnie szkarlatyna czyli tak zwana płonica, która wiele ofiar zabiera. Starszych wiekiem męczy dychawica (astma), a ten, co dostał się dusicielce tej w sidła, niczym innym jak tylko życiem przypłacić musi, bo to staw na jej młyn właśnie. Także choroby piersiowe i inne dają się słabowitym we znaki — a to wszystko, wyłącznie pochodzi od zaziębienia. Przy największej ostrożności bardzo łatwo można się w tych czasach zaziębić. Deszcze w naszych stronach padają nie rzadko, i barometr ciągle spada; sprawdza się tu już u nas do joty chłopska zasada, że: na wiosnę z szaflika wody — łyżka błota, w jesieni zaś, z łyżki wody — szaflik błota.

Z materyjałów tuż przedemną do zakomunikowania wam zgromadzonych, któreby z deszczem ściśle były związane, traktować będę o projektowanej straży ogniowej, zwłaszcza, że takowa bez wody obejść się nie może. Z nastaniem jesieni same tylko projekta nas obchodzą; oddawna nie pamiętamy takiego jak obecnie ożywienia w projektowaniu. Z pośród owych projektów, projekt uorganizowania straży ogniowej ochotniczej w Sieradzu główną odgrywa rolę i wszystkich prawie zajmuje, i jak mamy nadzieję za sprawą szan. burmistrza miasta i innych ludzi dobrej woli, nie długo się w szatę czynu przyoblecze. *Pro bono urbis est, dum ludere videmur*.

Projekt ustawy dla straży o jakiej mowa, w tych dniach wysłany stąd już został dla zatwierdzenia wyższej władzy. Nie mogę się powstrzymać od przytoczenia ważniejszych punktów w tym krótkim, lecz wybornie opracowanym memoriale zawartych. Ustawa cała zamyka się w 17 paragrafach: Członkiem rzeczywistym może być każdy mieszkaniec Sieradza, nienagannego prowadzenia, liczący najmniej 18 lat wieku. Członkowie rzeczywisci nie są obowiązani do żadnych składek i ofiar. Członkowie honorowi płacą przy wstąpieniu do straży jednorazowo najmniej rubla, oraz rocznie najmniej dwa ruble. Każdy członek rze-



czywisty, o ile się na to zgodzi, ma sprawić swoim kosztem: bluzę płócienną, passkórzany z haczykiem, i kask, wszystko według wzoru straży ogniowej kaliskiej. Niezamożni dostaną to wszystko od zarządu. Ilość mogących być bezpłatnie umundurowanymi nie może przekroczyć 30-tu. Członkowie rzeczywisci rozdzielają się na pięć oddziałów. Nie stawiający się członek rzeczywisty bez przyczyn ważnych do obrony w czasie pożaru, jakoteż na ćwiczenia, poddaje się karze na korzyść kasy straży od 15 do 50 kop. Członkowie wybierają radę zarządzającą na lat trzy, mającą się składać z prezesa, dyrektora, sekretarza, kasyjera i dwóch brandmajstrów. Przedewszystkiem zarząd powinien zaopatrzyć się: w 30 kasków, 30 pasów skórzanych z haczykami, 15 toporów, 30 latarni, 30 bluz płóciennych zapasnych, 30 węborków, 4 łomy i kilofy, 4 żelazne łopaty, 4 amerykańskie topory, 10 ochronnych lin, 1 ochronny worek, 3 sygnałowe trąby, 1 sygnałowy dzwon i 1 wóz do przewożenia wszelkich przyrządów. Magistrat miasta Sieradza obowiązany jest oddać zarządowi: 1° wszystkie posiadane narzędzia do gaszenia pożarów, jakoteż: sikawki, beczki, węborki, drabiny i t. p. 2° wszelkie fundusze przeznaczone, w etacie na utrzymanie tych narzędzi. Fundusze straży tworzą się: a) z ofiar dobrowolnych, b) ze składek członków, oraz c) z kar.

Pierwszą połowę mojej korespondencji ścisłe o ile potrafiłem, złączyłem. Dalej... anirusz! Wybacz mi więc łaskawy czytelniku, gdy teraz wspomnę o innych przedmiotach, nie pozostawiających zupełnie z powyższymi w związku. Zaczę od szkoły.

Przedewszystkiem zaznaczam, iż szkoła ta ma mniej o 25 wychowanców niż w przeszłym roku a trudno odgadnąć dla czego tylu jej ubyło uczniów. Kompletu stałego nauczycieli nie masz, ciągle następują zmiany, a obecnie z powodu śmierci ś. p. Alojzego Łukawieckiego, język niemiecki czeka następcy. Przewodniczący w szkole p. Latour wykłada we wszystkich klasach język rosyjski, p. Adelsberg francuski i polski (w wyższych klasach), p. Kaczyński: język łaciński, grecki i niemiecki, p. Kasper Tosio wykłada we wszystkich klasach matematykę, p. Konopka <sup>1)</sup> język polski, kaligrafię i rysunki, i nareszcie p. Kolski (bezinteresownie, co należy pochwalić) wykłada geografiją i historiją powszechną we wszystkich klasach. Szkoła stara się o nauczyciela języka niemieckiego, któryby zarazem mógł wykładać naukę religii uczniom wyznania mojżeszowego; z tego więc powodu o pomoc i radę w tej rzeczy odniesiono się do redakcyi „Izraelity“.

W dniu 24 sierpnia r. b. przybyło do nas z miasta Łodzi towarzystwo artystów dramatycznych pod dyrekcją pana J. W. Łuby. Wszystkich przedstawień dano 16-cie (17 nie przyszło do skutku). Odegrano następujące sztuki: Śluby panińskie czyli Magnetyzm serca, Arcowy kawaler, Robotnicy, Kuzynki, Mąż na wsi, Polowanie na męża, Adam i Ewa, Przez

zazdrość (dwa razy), Za pozwoleniem łaskawa pani, Zosia druchna, (dwa razy), Fimmina, Broń niewieścia, Konkurant i żona, Sto za sto, Balowe rękawiczki, poczem wierszyk dzwicznym głosem wypowiedziała p. Rudnicka. Podstęp pana kapitana, dwa razy), przyczem śpiew: „Murzynka“ (odśpiewała dwa razy pani Rudnicka), Piosenka Wujaszka, Otelo, Zuzanna i dwaj starcy, Cicha woda brzegi rwie, Czula struna, Kobiety z kamienia, Ciężka próba, Posażna jedynaczka, Zbudziło się w niej serce, 5-ty akt z tragedyi Szyllera: „Zbójcy“, Portrety kochanka i męża, Pozytywni, Ciężkość pierwszy stopień do piekła, przyczem „Opowiedz jej“, romans (odśpiewała pani Rudnicka). Oprócz tego trzy razy odtąńczony został mazur 4 pary, układu zdolnego baletnika, pana Zygmunta Sztek; panna Wanda Wesołowska, 13 lat licząca, odtąńczyła polkę-węgierkę i mazura Mierzyńskiej. Pożegnalne przedstawienie, zakończyła komiczna galopada, odtąńczona przez wszystkich członków towarzystwa, przy rzęśstem oświeceniu bengalskimi ogniami. Towarzystwo, które wedle przyrzeczenia mile wspominać będzie Sieradz, odjeżdża już do Kalisza. W trupie tej celują grą wcale dobrą: pp. Werner, Siedlecki, Wł. Łuba, Szeder, Mikulski i Zbrożek (komik). — panie Mikulska, Rudnicka i panna Ruszkowska.

W dniu 14 września r. b. we wsi Wągezwie, o dwie mile od Sieradza, ks. proboszcz tamecznej parafii, Rogoziński, uroczyste obchodził 50-letni jubileusz kapłański. Oprócz parutysięcznego tłumu ludu, całe prawie duchowieństwo powiatu złożyło szczere życzenia sędziwemu i powszechnie szanowanemu jubilatowi i solenizantowi.

Chodzą wieści, iż p. Polikarp Kozerski, tułtejszy obywatel, posiada skorowidz o przywilejach dawnych Sieradza, do Głównego Archiwum w Warszawie. Warto by coś o tem pomyśleć, albowiem pan K. wyegzekwował już podobne przywileje niektórym miastom, jak np. Kielcom, Radomiowi, Łęczycy, Brzezinom w 1862 r. Łodzi i t. p., a mieszkańcy wszystkich tych miast, ciągną obecnie z przywilejów korzyści.

W listopadzie lub grudniu, mają w Sieradzu być dane przedstawienia teatralne amatorskie. Później odbędą się odczyty publiczne.

Maksymiljan Kempinski.

## Ruch w przyrodzie.

Czy wiedza prowadzi do nihilizmu? Prawa ruchu. Przetwarzanie się ruchu w ciepło. Praca mechaniczna. Skąd czerpią siłę zwierzęta. Ocena siły użytkowej w maszynach ludzkiej i w parowej. Przekształcenia siły w przyrodzie. Perpetuum mobile. Ruch siły cieplikowej. Chemiczne wpływy słońca na świat roślinny. Oddziaływanie siły słonecznej i księżycowej na morze. Pomniejszenie chyżości ruchu obrotowego ziemi. Powiększenie dnia o jedną sekundę w upływie 16200 lat. Smutny horoskop dla przyszłych mieszkańców ziemi.

.....Wieku bez jutra — wieku bez przyszłości — co nad, przepaścią stanął ponury. Nauczycielu zgroz i nicości coś wziął ludzkiego ducha na tortury. Szyderstwem zagnasz w wieczarniach ginących — śląc im do grobu te słowa najkrwawsze: Stracone wszystko, giniecie na zawsze.

Taką to straszliwą apostrofę zwraca Asnyk do bieżącego wieku, dumnego tyłoma wynalazkami, które uniesmiertelniały gienijusz człowieka. Czy wiedza dzisiejsza prowadzi do

nicości, jako ostatecznego rezultatu życia? Oto kwestya, którą przy rozpatrywaniu ruchu we wszechświecie chciałbym choć pobieżnie podnieść. Nauki przyrodnicze, pomimo olbrzymiego ich rozwoju, nie zdobyły się dotąd na żaden poważny system filozoficzny, zaprzętały się jedynie analizą świata zmysłowego, gdyż sama tylko materyja mogła stanowić przedmiot ich badań. Na tej drodze wiedza wykryła proces przetwarzania się materii, wyjaśniła mnóstwo zjawisk z nią zjednoczonych, wkroczyła nawet w hipotezy dotyczące pierwotin życia, lecz nie sięgnęła do przyczyn ostatecznych, które pozostały i pozostają dotąd sfinksem, nieprzystępnym wszelkim w tej mierze pokuszeniom. Z protoplazmy (zarodki), powiadają nam myśliciele przyrodnicy, powstało życie organiczne, a pierwotnym jego rodnikiem były z morza — z mgławicy — zrodziły się planety; pozostaje przecież dotąd nierozwiązanem pytanie, z czego wytworzyła się owa protoplazma w łonie oceanu pierwotnego — z czego powstały atomy mgławicy? Teoryja samorodztwa nie może w tym razie nie objaśniać, bo końcem końców nikt nie wytłómaczy nam, skąd się wzięły owe siły fizyko-chemiczne, za wpływem których poczęło kiełkować życie. Jednem słowem wiedza przyrodnicza pomimo swych odkryć wielce doniosłego znaczenia, nie objaśnia nam ani zawiązku jestestw, ani zawiązku światów. A jednak kwestyje te w najwyższym stopniu muszą zajmować umysł każdego myślącego człowieka — prosta logika powiada mu, że wszelki skutek musi mieć swą przyczynę, że wszelki rozwój musi dążyć do pewnego celu, gdyż inaczej rozwój ten nie miałby żadnej racyi bytu. Niektórzy przecież przyrodnicy apostołują beczelowość, panować mającą w całej przyrodzie; inni nie zaprzętają się wcale tym przedmiotem, jako nieodpowiednim obecnemu stanowi nauki, nie dającym się pomieścić na szalkach analitycznych, ani pod mikroskopem. W obec takich dążeń, usprawiedliwiających poczęści bolesne orzeczenie Asnyka, nie dziw że myśl ludzka szuka węzłów między wiedzą naukową, a religią, że stara się ostać na gruncie, jaki jej z pod stóp wydzierają Häckel, Büchner, Moleschott, Vogt i inni tego pokroju uczeni. Nicość miałaby być ostatecznym wynikiem życia? nihilizm w swej szpetnej postaci byłby jedynym racjonalnym dogmatem filozoficznym? Na takie poglądy trudno zgodzić się ludzkości, której wiekowe prace opromienił świetną aureolą postęp, wskazując tem samem jej dążność do pewnych a pewnie wyższych celów, nad zwierzęcą misją zachowania gatunku. Ztąd też powstał zastęp takich przyrodników, jak niedawno zmarły Agassiz, Flammarion, Quatrefages, Secchi, wreszcie Virchow, odrzucających beczelowość w przyrodzie i walczących ze szkołą nowatorów. Walka ta trwa dotąd, i nie można jeszcze przesądzać, kto zwycięży; wszakże nie możemy pomijać, że zdobycze nauki dalekie są jeszcze od popierania ateizmu. Okazały one między innymi prawdami, że materyja jest nieśmiertelna, gdyż żadna jej cząstka ginąć nie może, że również nie może ulegać zniszczeniu żaden atom siły; są to już pewne, światła objaśniające ciemnie wątpliwości, pewne nawet węzły, mogące łączyć

<sup>1)</sup> W tej chwili dowiaduję się, iż p. Konopka na zawsze opuścić musiał Sieradz; zastąpi go tymczasem p. Wolff, pomocnik nauczyciela szkoły elementarnej męzkiej.



w przyszłości świat materialny z duchowym. Bądź co bądź niepodobna nam przyjmować, aby nicość była zadaniem życia, aby zero stanowiło sumę wspaniałych, milionowych jego zjawisk. Życie jest ruchem, a więc rozwojem, dążącym do pewnych celów. Jeżeli ów rozwój przejawia się nie tylko w kształtach fizycznych jestestw, ale nadto w ich umysłowej organizacji, to widocznie i cele te muszą odpowiadać i temu ostatniemu rozwojowi moralnemu, nie zaś ograniczać się do funkcji wydania potomstwa. Słowem rozwój nasz umysłowy wskazuje jakiś cel podnioslejszy usprawiedliwiający byt człowieka na ziemi.

Wszystkie te względy wystarczać nam winny do odrzucenia poglądu, poczytującego wiedzę przyrodniczą, za wiodącą jedynie do nihilizmu.

Po tych kilku uwagach, jakie sędziliśmy za konieczne przytoczyć, przystępujemy do rozpatrzenia się w prawach ruchu i jego przejawach.

Wszelkie zjawisko opiera się na dwóch podstawach: *materii* i *ruchu* — możemy wyobrazić sobie materię pozbawioną, ruchu, lecz niepodobna nam pojąć ruchu odosobnionego od materii. Znamy prawa ruchu, nie wykryliśmy jednak dotąd jego zasady; z tego też względu, dla jaśniejszego określenia ruchu, zwróceno się do jego przyczyny, nazwanej *siłą*.

Materia nie ulega zniszczeniu. Jeżeli ogień pochłania jakie ciało, jeżeli ulatnia się woda, zapelniająca naczynie, to cząstki tego ciała i wody nie giną, a tylko rozpraszają się w przestrzeni, i gdybyśmy je starannie zebrali, znaleźlibyśmy całkowity ich ciężar bez najmniejszego ubytku. Czy ruch podobnie nie ginie? Poprzestając na ocenie wielce pozornej naszych zmysłów, widzimy, że ciało w ruchu wprowadzone, uderzając o jakąkolwiek przeszkodę, przechodzi w stan spoczynku, a zatem ruch utracą. Dokładniejsze przecież zbadanie tego zjawiska, przekonują nas, że siła wywołująca ruch nie ginie w tym razie, ruch tylko przetwarza się, przechodzi w inną siłę. Bila bilardowa najmocniej uderzona po pewnym czasie ruch utracą. Kula działowa prochem wyparta, biegnie nierównie dalej, lecz również po upływie pewnego czasu zatrzymuje się. Dla czegoż to nastąpiło? Oto z przyczyny bardzo prostej: bila i kula napotkały *opór*, który gdybyśmy usunęli, ruch trwałby do nieskończoności. Na tem opiera się *prawo bezwładności*, według którego, *wszelkie ciało samo przez się nie może przejść ze stanu spoczynku w ruch, ani z ruchu w stan spoczynku*.

W rzeczy samej, w każdej chwili możemy sprawdzić, że ciało pozostające w spoczynku, samo przez się w ruch przejść nie może; odnośnie zaś do przechodzenia ciała z ruchu w stan inny, możemy sprawdzić to prawo jedynie przez indukcję. W rzeczy samej, jeżeli nie możemy usunąć przyczyn ruchu osłabiających, to przecież jesteśmy w stanie opory te złagodzić, a tem samem ruch przedłużyć. I tak kula toczyć się będzie dłużej po lodzie niż po ziemi, wahadło zegarowe pomieszczone w powietrzu rozrzedzonym, doznając mniej tarcia, ruchy swoje odbywać będzie dłużej.

Prawo bezwładności przejawia się i w przestworach niebieskich. Ruchy gwiazd, spraw-

dzane od dwudziestu wieków, nie uległy żadnej znaczącej zmianie, gdyż ciała te poruszają się w ośrodku, wielce zbliżonym do próżni, w której tarcie nie może zachodzić w tym stopniu, aby wpływało na zmianę w ich chyżości, stąd też astronomowie mogą z całą dokładnością oznaczać położenie wszelkiej gwiazdy w chwili danej.

Zmiany zachodzące w ruchu ciał niebieskich, pochodzą niewątpliwie z przyczyn zaburzających porządek, jak to miało miejsce w chyżości komet Enckego i Faye'a. Czas ich obiegu zmniejszył się, a postać ich orbity więcej zbliżyła, do koła.

Encke, objaśniając to zjawisko przyjmował, że przyspieszenie biegu komety noszącej jego nazwę, pochodzi z ośrodka więcej oporowego, zapelniającego przestwory niebieskie. Astronom zaś Faye przypuszczał działanie siły odpychającej, opóźniającej bieg jego komety.

Działanie tej siły byłoby więc tu proporcjonalnem do powierzchni, nie zaś do masy ciała i wyjaśniałoby wytwór warkoczy kometarnych w kierunku przeciwnym słońcu. Cokolwiek bądź, jakaś obca przyczyna wpływać musi na przyspieszenie biegu komet wyżej wspomnianych.

Gdy spostrzegamy ciało ruch utracające, przedstawia się nam naturalnie pytanie, z jakiej przyczyny ruch przestał się przejawiać. Doświadczenie okazało, że opór ruch powstrzymuje, oraz że w tym razie zawsze wywiązuje się pewna ilość ciepła, zatem że ruch zmienia się w ciepło.

Prawda ta należy do zdobyczy naukowych bieżącego wieku — nie ma już dziś żadnej wątpliwości, że ruch przetwarza się w ciepło, a to w stosunku oznaczonym i niezmiennym, zachodziła tu wszakże jedna trudność, a mianowicie: jaki element ruchu może posłużyć do wymiaru jego ilości?

Ciało w ruchu będące wyrażonem być może przez swój ciężar i przestrzeń, jaką przebiega w jednostce czasu, a więc ilość ruchu wymierza nam jego *chyżość*.

Widocznem jest, że ciepło wytworzone w skutek powstrzymania ruchu, powinno być proporcjonalne z ciężarem ciała. W rzeczy samej dwa ciała, ożywione jednakową chyżością, wytwarzają muszą dwakroć większą ilość ciepła niż jedno ciało. Co się tyczy chyżości, to naturalnie ciepło, wytworzone w skutek ustania ruchu, jest tem wyższe, im chyżość jest większą. Nie możemy jednak *a priori* orzec, czy to ciepło będzie jak najściślej proporcjonalne z chyżością. Wiemy to tylko, a raczej mamy zasadę przypuszczać, że to ciepło powinno być proporcjonalnem z wysokością, jakiej dosięgłoby ciało, będąc rzucone w próżni pionowo w górę z tą samą chyżością. Owoż doświadczenia najzupełniej potwierdziły to przypuszczenie, okazały bowiem, że ciało, tracąc ruch, wytwarza ilość ciepła najdokładniej proporcjonalną z ciężarem ciała pomnożonym przez wysokość do jakiej ono sięgnęłoby po wyzerpaniu swej chyżości. Iloczyn ten w mechanice nazwano *pracą*.

Wypada nam tę nazwę wyjaśnić.

Przypuśćmy że człowiek ma za pomocą sznura podnieść ciężar 20 kilogramów do wysokości 10 metrów. Widoczną jest rzeczą, że

praca, jaką ten człowiek rozwinie, wyrównywać będzie tejże samej, jaką by spełnił podnosząc 200 kilogramów, do wysokości jednego metra.

Pracę zatem tego człowieka wymierzać będzie ciężar 20 kilogramów, pomnożony przez wysokość 10 metrów, czyli co na jedno wychodzi — ciężar 200 kilogramów pomnożony przez jeden metr wysokości. Owoż mechanicy zgodzili się nazwać *kilogrametrem* pracę jednego kilograma, podniesionego do wysokości jednego metra, co przyjmując, pracę człowieka w przykładzie podanego, wyrazi nam 200 kilogrametrami.

Wszelkie prace dokonywane narzędziami i maszynami, redukują się ostatecznie do podniesienia ciężaru do pewnej wysokości, i mogą być oceniane liczbą jednostek ciężaru podniesionych do jednostki wysokości. Stąd też praca mechaniczna posługuje jako zasada do oszacowania robót spełniających się w praktyce. Dla oznaczenia liczebnego stosunku, jaki zachodzi pomiędzy pracą wymierzoną kilogramami a ciepłem, potrzeba nam wskazać w jaki sposób wymierzamy toż ciepło. Jednostką porównywalną tu posługującą, jest ilość, ciepła doprowadzająca do jednego stopnia cieplomierza stustopniowego, kilogram wody posiadający temperaturę zero. Ilość tę nazywamy *jednostką cieplikową*. I tak gdy mówimy, że jeden kilogram węgla, paląc się, wydaje 7,500 jednostek cieplikowych, oznacza to, że jeden kilogram węgla płonąc, może ogrzać 7,500 kilogramów wody, i podnieść ją od punktu, w którym lód topnieje, do jednego stopnia temperatury.

Doświadczenia Joule'a i innych fizyków dowiodły, że ruch znikając, rodzi ciepło, w stosunku jednej jednostki cieplikowej na 425 kilogrametrami. I tak ciało ważące kilogram, ożywione chyżością wyrównyującą tej, jaką by nabyło spadając w próżni z wysokości 425 metrów, utracając ruch, wytwarza ilość ciepła równą jednej jednostce cieplikowej. Liczba 425, przedstawia nam to, co nazywamy *równoważnikiem mechanicznym ciepła*. Gdy ruch znikając wytwarza równoważnik ciepła, powiadamy, że ruch czyli praca posługująca do jego wymiaru, przetwarza się w ciepło. W jaki sposób następuje to przetwarzanie się nie wiemy, możemy jednak przypuścić, że ruch gasnąc wprowadza molekuly ciała w wibracje, w skutek czego ono ogrzewają się. Ruch wytwarza ciepło, i odwrotnie ciepło rodzi ruch i pracę mechaniczną.

Wszakże pomiędzy zamianą ruchu w ciepło, a zamianą ciepła w ruch, zachodzi ważna różnica. W pierwszym razie cała praca mechaniczna przetwarza się w ciepło, w drugim zaś, część tylko ciepła zmienia się w pracę mechaniczną, reszta zaś jego ilości jest straconą.

We wszelkiej maszynie termicznej zawsze pracę otrzymujemy w skutek rozszerzania się ciała, które przyjmuje pewną ilość ciepła i odstępuje inną mniejszą jego ilość, posługującą do poruszania mechanizmów. Różnica między temi dwiema ilościami, zawsze bywa straconą dla maszyny. Inny przykład zamiany ciepła w pracę, podaje nam organizm zwierzęcy. Dziś już nie uważamy ruchów zwier-



rzęcia za skutek siły specjalnej, zwierzę bowiem nie posiada żadnej władzy tworzenia choćby najmniejszej ilości pracy mechanicznej, lecz tylko zarządza pracą, wytwarzaną pod wpływem procesów chemicznych, zachodzących w jego organizmie.

Źródło pracy, dokonywanej przez zwierzęta, mieści się w pokarmach, przez niespożywanych, a posługujących im do utrzymania życia.

Pokarmy te stanowią materiał opałowy, który po ich strawieniu i wprowadzeniu do krwi, ulega powolnemu paleniu się i wytwarzaniu, łącząc się z tlenem atmosfery, związki podobne tym, jakie powstają w naszych ogniskach.

Ciało zwierzęce przypomina nam najzupełniej maszynę parową. W maszynie tej suma pracy pozyskanej i ciepła udzielanego ciałom otaczającym, jest proporcjonalną z ilością zużytego węgla. W zwierzęciu podobnież praca przezeń spełniana i ciepło utracane, pozostają w pewnym oznaczonym stosunku do utleniania się związków, wchodzących do jego organizmu.

Gdy człowiek podnosi ciężar, ponosi ubytek na wadze większy nierównie od tego, jakiby nastąpił gdyby nie oddawał się tej pracy. Ubytek powyższy dopiero wówczas zapełnionym zostaje, gdy człowiek przyjmuje ilość pożywienia proporcjonalną do tej straty.

Gdy człowiek pozostaje w spoczynku, wszelkie akcje chemiczne spełniające, się w jego ciele, redukują się ostatecznie do wytworzenia ciepła, potrzebnego dla utrzymania stałej temperatury jego ciała, dochodzącej 37 stopni Celsjusza. W czasie ruchu człowieka, część tylko skutku akcji chemicznych przetwarza się w ciepło, pozostała zaś część zmienia się w pracę mechaniczną.

Ponieważ zwierzę nie posiada władzy tworzenia pracy mechanicznej, lecz ta wytwarza się z pokarmów, przez nie spożytych, wypływa stąd, że dzieląc pracę spełnianą przez zwierzę w ciągu całego życia, przez ciepło zużyte w tymże upływie czasu, otrzymamy równownik mechaniczny ciepła. Iloraz w tym razie da nam liczbę 425 kilogrametrów.

Aby pozyskać ciepło, zużyte w ciągu życia zwierzęcia, potrzeba nam do ciepła, jakiebysmy otrzymali, paląc wszystkie pokarmy spożyte przez zwierzę w ciągu życia, dodać ciepło, pochodzące ze spalania jego ciała po śmierci. Następnie zebrać w jedną sumę ciepło wydzielone na zewnątrz w ciągu całego życia zwierzęcia, ciepło pozyskane przez spalanie materij, przez zwierzę wydzielonych w tymże czasie, oraz ciepło ciała zwierzęcego w jego postaci zaraz po urodzeniu. Po złożeniu obu tych sum należy drugą odjąć od pierwszej. Współczynnik pracy z maszyn otrzymywanej wynosi według doświadczeń 7%. Wypada nam teraz poznać, jaki jest współczynnik maszyny ludzkiej.

Wiadomo nam, że największą pracę spełnia człowiek wówczas, gdy pnie się w górę o spadku łagodnym. Pracę tę wymierza iloczyn z wagi jego ciała, pomnożonej przez wysokość jakiej dosięga. Owoż doświadczenie w tej mierze okazało, że człowiek może spełnić bez wysilenia w tych warunkach pracę 280,800 kilogrametrów, w ciągu ośmiu godzin

według obliczeń Moleschota. Przeciętne pożywienie dzienne człowieka pracującego wynosi 3,448 gramów, a spalanie materij tę wagę przedstawiających, dochodzi liczby 2,883 jednostek ciepłikowych.

Praca mechaniczna odpowiednia tym 2,883 jednostkom ciepłikowym, wyrównywa 1,225,275 kilogrametrom. Owoż dzieląc pracę spełnianą dziennie, przez pracę odpowiadającą trawieniu pokarmów, otrzymamy na współczynnik maszyny ludzkiej 0,229 czyli prawie 23%.

Stosunek ten odpowiada najzupełniej podanemu przez słynnego fizyka niemieckiego Helmholtza, i okazuje najwyraźniej, że maszyna ludzka jest daleko doskonalszą od wszelkich maszyn parowych; wszakże jest od nich nieporównanie droższą. W rzeczy samej potrzeba 8 ludzi do wykonania pracy, jaką spełnia jeden koń parowy. Owoż oceniając bezkę węgla na 50 franków, jeden koń parowy pracujący przez 8 godzin kosztować będzie 0,52 franka, gdy tymczasem koszt pracy człowieka w tymże czasie wyniesie 2 franki, czyli koszt 8 ludzi dochodzić będzie 16 franków.

Ruch przetwarza się nie tylko w ciepło, ale nadto w inne czynniki fizyczne pod wpływem pewnych warunków. I tak za pomocą maszyny elektrycznej, ruch przetwarza się w czynnik identyczny z produkującym piorun. Używając maszyny magnetoelektrycznej, ruch wytwarza prądy całkiem podobne do pozyskiwanych ze stosu wolty, które nam posługują do przesyłania depesz telegraficznych. Ruch pociągów na drodze żelaznej, zmienia szyny, przez które przechodzi w magnetyczne, gwałtowne zaś powstrzymanie ruchu może wytworzyć światło. Gwiazdy spadające przechodząc w naszą atmosferę z chyżością różniczkową 16—72 kilometrów w sekundzie, są tego przykładem.

Ponieważ ruch może się przetwarzać w ciepło, elektryczność, magnetyzm i światło, jasną jest rzeczą, że czynniki te są nieczem innym, jak tylko szczególnymi odmianami ruchu.

Jesteśmy świadkami nieustannych transformacji, zachodzących w całej przyrodzie. Maszyna parowa przetwarza w ruch ciepło zrodzone w skutek palenia się węgla, ruch z pomocą maszyny magnetoelektrycznej przeradza się w elektryczność, z kolei przetwarzającą się w światło. W ten sposób ciepło przechodząc przez rozmaite stany, staje się światłem. Moglibysmy sięgnąć dalej—ciepło wywiązane z węgla kamiennego w rzeczywistości pochodzi z promieni słonecznych, za których wpływem rozwijała się roślinność w epoce węglowej. W pokładach węgla słońce przed milionami lat złożyło zasób siły ciepłikowej, z której dziś przemysł korzysta.

Widzimy stąd, że wszelkie siły przyrody ulegają prawu przekształceń, żadna z nich nie ginie, i na tej zasadzie fizycy wyprowadzają prawo zachowawczości siły. Ruch jest również nieśmiertelnym jak materja, i w skutek swych przetworzeń produkuje wszelkie zjawiska w naturze. Zasada zachowawczości siły ruch rodzącej, posłużyła marzycielom za podstawę do pokuszeń wytworzenia ruchu wieczystego.

Należy nam z tą kwestyją obznajmić nieco czytelnika.

Ruch ciągły (perpetuum mobile) oznacza dosłownie ruch nieustający na chwilę, trwający nieskończenie. Nie w tem jednak określeniu pojmują go wynalazcy, ubiegający się za mironką, usiłują oni bowiem zbudować taką maszynę, któraby będąc, raz w ruch wprowadzoną, mogła się poruszać nie tylko ciągle bez pomocy żadnego motora (siły poruszającej, silnika), ale nadto wytwarzać siłę użytkową bez najmniejszego ubytku.

W pierwszym określeniu ruch nieustanny nie jest bynajmniej niedorzecznością, ponieważ według prawa bezwładności, ruch rozpoczęty, powinien trwać nieskończenie, gdyby żadna obca przyczyna nie wpłynęła na jego powstrzymanie. Wreszcie, gdyby nawet nastąpiło, ruch jak nam wiadomo, przetwarzając się może w ciepło, elektryczność i t. p. Jeżeli jednak zajmować się będziemy ruchem nieustannym dostrzegalnym, napotkamy go jedynie w gwiazdach, chociaż i w tych przestworach nie jest ściśle biorąc wieczystym.

W rzeczy samej przypuszczać możemy w przestrzeniach tych istnienie ośrodka, którego siła oporowa po wielce długim upływie czasu, zniszczyć może ruch i przetworzyć go w ciepło. Owoż bądź co bądź dostrzegamy ruch nieustanny w pierwszym jego pojęciu jedynie w przestworach niebieskich, ruchu zaś wieczystego w drugim jego określeniu, nie napotykamy nigdzie. Jest on niepodobieństwem i niedorzecznością.

W rzeczy samej widzieliśmy, rozpatrując się w zachowawczości siły, że ruch przetwarza się w ciepło lub w elektryczność, wszakże zmiany te są zawsze sobie równoważne. Natura nie zna żadnego stwarzania pracy, może tylko przetwarzać jeden ruch w drugi pozostawiając niezmienną sumę pracy mechanicznej.

Wszelka maszyna służy tylko do przeniesienia akcji motora, a to w celu zwyciężenia oporu; spełniając jednak to zadanie, maszyna nie powiększa wcale ilości pracy spełnianej przez tenże motor, ale przeciwnie zmniejsza tę ilość z powodu oporu, jaki napotyka w swym ruchu, przetwarzającym się w części w ciepło.

Ludzie mało obznajmieni z prawami mechaniki, wyobrażają sobie, że za pomocą maszyn można stworzyć pracę. Według ich poglądu, ponieważ małą siłą można zwyciężyć wielki opór, tem samem byłoby możebnem zużytkowanie całego zasobu tej małej siły, bez ponoszenia ubytku. Jest to niestety złudzeniem, gdyż we wszelkiej maszynie, zachodzić musi strata w sile.

Wielka zasada zachowawczości siły mogłaby nasuwać przypuszczenie, że świat jest niezmiennym; że przekształcenia zachodzące w jednym kierunku, kompensowane są przez przekształcenia przejawiające się w drugim. Jest to błędem, który najwidoczniej okazują nam pokłady ziemne.

Historja naszej planety naucza nas, że ziemia uległa znaczącym zmianom od chwili pierwotnego swego ukształtowania się, że wreszcie zamieszkiwaną była przez jestestwa coraz doskonalsze. Podobnież przyszłość świata nie jest wcale obiecującą dla jego mieszkańców, nauka bowiem przepowiada zmiany na



ziemi, które ostatecznie doprowadzą do zniszczenia na niej życia.

Słońce będąc źródłem wszelkiego życia w naturze, przelewa nieustannie w przestrzeń strumienie światła i ciepła których ziemia pozyskuje cząstkę bardzo małą. Większość promieni słonecznych jest dla niej straconą, i tu promienieje w nieskończonych przestworach.

Największa część promieni słonecznych padających na ziemię, zachowuje się w stanie ciepła i zwolna rozprasza się w przestrzeni. Pozostała część, zamienia w parę wody rozlane na powierzchni ziemi. Para ta wznosi się w wyższe warstwy atmosfery, zmienia się w mgłę i tworzy chmury, a następnie spada w postaci deszczu, śniegu, lub gradu na ziemię, zbierając się w źródłach, strumieniach, rzekach, wreszcie wraca do morza unosząc z sobą odłamy skał, muł i kamienie. Zwracając się ku morzu, woda w części utraciła po drodze ruch i wytwarza ilość ciepła, jak najdokładniej wyrównyującą ciepło które poprzednio służyło jej do wzniesienia się w powietrze w postaci pary. W ten sposób, ciepło zmieniając się w pracę użytkową, w chmurach, przetwarza się na nowo w ciepło. W naszych młynach, fabrykach i zakładach hydraulicznych, korzystając z wody przetwarzamy w pracę to ciepło, które wodę zmieniło w chmury. We wszelkich prawie zakładach przemysłowych, praca wydawana przez motor, zmienia się ostatecznie w ciepło.

Słońce w nierównym stopniu ogrzewa naszą atmosferę, powietrze gorętsze i więcej rozrzedzone wznosi się w górę a niżej przechodzą prądy powietrza zimnego. Takim jest pochodzenie wiatrów; pod równikiem powietrze jest najgorętsze, i najwięcej rozrzedzone, i to dostając się w wyższe warstwy atmosfery, płynie ku biegunom, które z kolei wysyłają ku równikowi powietrze zimne, tam się ogrzewające i tworzące wiatry alizejskie. Wiatry alizejskie panują stale na Atlantyku i oceanie Spokojnym na 30° po obu stronach równika; powstają w skutek ogrzewania się powietrza od prostopadłych promieni słońca w okolicach równikowych, które wznosi się w górę i zastąpionem zostaje powietrzem gęstszym, płynącym od biegunów ku równikowi. Te prądy powietrzne w skutek obrotu ziemi przyjmują względem równika kierunek skośny. Ciepło słoneczne produkuje te wiatry, które z kolei w miarę jak powietrze wraca do spoczynku, wytwarzają ciepło.

Jedyna operacja natury w której ciepło nie ulega rozproszeniu, zachodzi w królestwie roślinnym. Promienie słoneczne padające na liście zielone rozkładają kwas węglany i wodę, a to celem utrwalenia w tychże liściach węglą i wodoru, a zarazem wywiązania tlenu. Nadmienić tu winniśmy, że promienie słoneczne dokonywające tych rozkładów w roślinie, są niebieskie, fioletowe, i ultra fioletowe, niewidzialne, lecz obdarzone działalnością chemiczną i z tej przyczyny zwane *promieniami chemicznymi*.

Rośliny są karmicielkami zwierząt, które znowu moglibyśmy nazwać przyrządami palenia się węglą i wodoru, ciał czerpanych przez zwierzęta z roślin. W rzeczy samej wę-

giel i wodor pali się nieustannie w organizmie zwierzęcym, wytwarzając ciepło i pracę mechaniczną. Zwierzęta w tym procesie wydzielają kwas węglany i wodę, które zostają pochłonywane przez rośliny.

Słońce i księżyc wywierają pewien wpływ na ziemię. Każde z tych ciał w dwóch punktach przeciwległych powierzchni morza, wytwarza dwa wydęcia, dwie fale olbrzymie spełniające obrot odpowiadni ruchom dziennej gwiazdy, i tworzące to, co nazywają marynarze przyływem morza. Dwie fale wytworzone przez księżyc są przeszło dwakroć większe od wydawanych przez słońce, a to w skutek bliższego sąsiedztwa satelity ziemskiego. Wierzchołek jednej z tych fal wydatnieje w punkcie najwięcej oświetlonym przez księżyc, wierzchołek zaś drugiej fali znajduje się w punkcie przeciwległym. Działanie słońca w nieznanym tylko stopniu zmienia przyprawy księżycowe. Ziemia w swym ruchu obrotowym unosi te wydęcia, wytworzone za wpływem księżyca, przyczem wody morskie usiłują nieustannie powrócić do równowagi, a nie dosięgając jej nigdy, ponoszą pewne straty w swym ruchu.

Owóż wszelki ubytek w ruchu rodzi ciepło, a tem samem na powierzchni naszej planety wytwarza się nieustannie ciepło, kosztem ruchu właściwego kuli ziemskiej. Na podstawie tych spostrzeżeń, przychodzimy do wniosku, że zjawisko przyływów zwolna osłabia ruch obrotu ziemi około jej osi, a tem samem dąży do powiększenia stopniowo długości dnia.

Pomniejszenie ruchu obrotowego ziemi, jest wcale nieznaną, powiększenie bowiem długości dnia, wynosić może tylko jedną sekundę w upływie 162,000 lat.

Czy ziemia pomniejszając nieustannie swój ruch, nie zatrzyma się nagle w przestworze? Na to pytanie odpowiadamy przecząco. W rzeczy samej, gdyby to pomniejszenie ruchu ziemi doprowadziło do ujednolajnienia jej ruchu obrotowego około osi, z ruchem obrotowym księżyca około ziemi, to i w takim razie, ziemia tą samą stronę zwracałaby do księżyca. Wówczas wydęcie płynne przejawiające się od strony księżyca, nie uległoby zboczeniu, w skutek obrotu ziemi i księżyce nie wywierałby wpływu osłabiającego jej obrot ostatecznie, więc ziemia zwracać się będzie zawsze jedną stroną ku księżycowi, podobnie jak tenże dziś zwraca się zawsze jedną stroną ku niej.

Z tego co dotąd przytoczyliśmy wypływa, że we wszelkich zjawiskach zachodzących w naszym systemie słonecznym, przejawia się dążność rozmaitych sił do przetwarzania się w ciepło. Ciepło to usiłuje przechodzić od ciał rozgrzanych do zimniejszych, a tem samem utrzymać równowagę w temperaturze.

Zmniejszenie ilości ciepła, przesyłanego przez słońce ziemi, jest nieuniknioną katastrofą, jaka zagraża jej mieszkańcom. Katastrofa ta przecież jest niezmiernie od nas odległą; nie zagraża bynajmniej ani nam ani naszym najbliższym prawnikom. Zmiany zachodzące w temperaturze ziemi, są niesłychanie powolne. Od czasów historycznych to jest od czterech czy pięciu tysięcy lat, temperatura ziemi nie zmniejszała się w stopniu dającym się oce-

nić. Wprawdzie nie posiadamy obserwacji termometrycznych z tych odległych czasów, natomiast wiemy że wino i drzewa oliwne wielce czułe na zmiany temperatury, owocowały w epoce Abrahama i Mojżesza, co dowodzi niewątpliwie, że ziemia od tego starożytnego okresu nie prawie nie utraciła z ilości ciepła dostarczanego jej przez słońce. W każdym razie nie ulega żadnej kwestyi, że ta gwiazda dzienna wyczerpie cały swój zasób ciepła. Gdy promieniowanie świetlne i ciepłikowe słońca osłabnie, życie roślinne i zwierzęce musi naturalnie zagasnąć na ziemi. Gdyby przestrzenie planetarne były próżnią, ziemia i inne ciała niebieskie po zgaśnięciu słońca, mogłyby krążyć dalej w ciemnościach. Przestrzenie te wszakże wypełnia eter, a zatem bądź co bądź ośrodek oporowy; ruch więc planet zwolna przetworzy się w ciepło, które rozproszy się w przestworach niebieskich a ziemia i inne ciała ostatecznie połączą się z zagasłym słońcem.

W. Niewiadomski.

## STAW KSIEDZA OPATA

przekład z angielskiego.

(Dalszy ciąg).

Elsie pierwszy raz w życiu usłyszała ten ton rozkazujący i z podziwieniem patrzyła jak brwi Filipa sięgnęły się nad oczami.

Gdy życzenie jego spełniła, Denbigh wziął listy przyniesione podczas jego nieobecności i zaczął je odczytywać, ilekroć jednak Elsie, kręcąc się tu i owdzie po swej nowej siedzibie, spoglądała na męża, zawsze spotykała jego wzrok w nią utkwiony z wyrazem którego żadną miarą zrozumieć nie mogła. Zakłopotana postanowiła zaraz nazajutrz usunąć niefortunny podarunek, i nie uspokoiła się dotąd dopóki Filip, skończywszy czytanie listów nie przemówił do niej po dawnemu.

Następnego poranku była zupełna odwilż. Zewsząd lało się i kapało i pan Denbigh, siadając na kołach po śniadaniu dla odbycia swego codziennego objazdu, zalecił żonie, aby przez cały dzień nigdzie z domu nie wychodziła, Elsie przyrzekła być posłuszną, chyba się zupełnie wypogodziło, i przez cały poranek bardzo była zatrudniona, gdyż stara Isott przyczepiła się do niej, zmuszając ją do przejrzania wszystkich szaf, kredensów, pułek i kufrów, i zliczenia zawartych w nich przedmiotów. Dopełniwszy tego zadania, młoda pani spożyła samotnie swój *luncheon*, poczem dosyć miała jeszcze zajęć z uporządkowaniem swoich skarbów, tak, że dopiero ku wieczorowi znalazła czas zajrzeć do saloniku, aby zobaczyć czy jest ogrzany i gotowy na przyjęcie pana domu. Wpadło jej w oczy, że próżne wazony od kwiatów smutnie wyglądały, i że brakowało im trochę barwy dla uwydatnienia ich białości, a gdy w tej właśnie chwili słońce pogodnie zajaśniało, spiesźnie zarzuciła na siebie okrycie, włożyła kapelusz i kalosze



i wyszła, chcąc urwać kilka gałązek dzikiego mirtu, którego pełno rośło nad brzegami stawu księdza opata.

Przeszła ostrożnie śliską ścieżką, prowadzącą przez ogród, na bardziej jeszcze oślizłej brzeg sadzawki, w której głębi leżały duże bryły lodu. Masa topniejącego śniegu spadła na nią z krzaku w chwili, gdy pociągała ku sobie gałąź; a gdy się przychyliła naprzód, strąsając śnieg ze swego okrycia i z głowy, ujrzała pod nogami coś błyszczącego wśród mokrej trawy. Schyliła się i podniosła ten przedmiot; był to pierścionek misternej roboty, z rubinem w środku. Widok tego pierścionka dziwne sprawił na niej wrażenie. Właśnie taki sam znajdował się pomiędzy kilkoma klejnocikami, zostawionymi jej przez matkę, i oddała go swemu pierw. zemu mężowi w chwili smutnego pożegnania, które miało być ostatniem. Był to osobliwszy zbieg okoliczności, pomyślała, i z drżeniem zabobonnej trwogi przyglądała się, do jakiego stopnia podobieństwo było zupełnem: wielkość i barwa kamienia, staroświecka oprawa, nawet mała plamka, którą zapamiętała w swoim rubinie, i w tym była powtórzoną. Zaledwie uwierzyć mogła, żeby pierścionek jaki trzymała w ręku, nie był tym samym zadatkiem miłości, który wraz z jej straconym małżonkiem poszedł na dno morza.

Smutna powróciła do domu, a gdy się ujrzała samą w pół ciemnym już sypialnym pokoju, przejął ją strach zabobonny. Rzuciła na łóżko okrycie i kapelusz, i zaczęła biec do saloniku, gdzie właśnie zapalono świece, gdy Filip Denbigh, wchodząc głównymi drzwiami, przyjął ją prawie w swe objęcia.

Zdziwiła ją przenikliwość z jaką natychmiast poznał, że coś nowego zaszło, i zapytał głosem pełnym żywego niepokoju:

— Co to jest? Co się stało?

Opowiedziała mu wszystko, stojąc obok niego przed kominkiem, na którym żywy płonął ogień, i zakończyła temi słowy:

— Nie jestże to dziwnem? Nie zdarzyło mi się nigdy widzieć pierścionka do tamtego podobnego, a ten jest zupełnie taki sam.

Pan Denbigh wyrwał jej z rąk pierścionek, mówiąc z gniewem:

— Rzuć to w ogień! — nie dotykaj się tego — rzuć to precz!

Pierwszą myślą Elsie, teraz jak zawsze było usłuchać tego rozkazu, ale natychmiast zastanowiła się, że ten pierścionek musi do kogoś należeć, i że ma rzeczywistą wartość. Gdy się schyliła, chcąc go ocalić, Filip Denbigh szarpnął ją gniewnie.

— Nie chcę, abys mi ustawicznie zawracała głowę tą minioną przeszłością. Wszystko, co tylko spostrzeżesz, każde najdrobniejsze zdarzenie odnosisz do wspomnień, które raz na zawsze powinnaś wymazać z swej pamięci. Ty mi każdej godziny dnia, krzywdę wyrządzasz myślami twemi, Elsie.

Zmartwiona, zdziwiona i boleśnie dotknięta, Elsie cofnęła się iz szybkim poruszeniem, odsłoniła rękę na której jego żelazne palce zostawiły czerwone znaki. Spojrzała na ten dowód porywczosci męża żalonym wzrokiem skrzywdzonego dziecięcia, i żyły puściły się

z jej oczu. Ale widok tych łez bynajmniej nie zmiękczył jego serca, i z wrastającym rozdrażnieniem rzekł jeszcze:

— Jakież ty robisz przypuszczenia? Co ci przychodzi do głowy? Powiedz mi lepiej od razu, co myślisz.

— Cóż ja mogę myśleć? — odpowiedziała, podnosząc na niego zdziwione oczy. — Ja ciebie nie pojmuję dzisiaj, Filipie. Bez wątpienia ktoś musiał zgubić ten pierścionek; ale jest tak podobny do tego, który dałam... tu wstrzymała się w obawie, aby znowu nie pobudzić jego zazdroznego usposobienia, i dodała: Każdegoby to uderzyło, Filipie, i nie miałeś powodu, — tu łkania głos jej stłumiły, i żyły na nowo płynąć zaczęły.

Pan Denbigh przeszedł się parę razy po pokoju, potem stanął tuż przy młodej małżonce, opartej o poręcz kominka.

— Elsie, przestań płakać, rzekł zmienionym głosem, przestań płakać, jeżeli nie chcesz mię przyprowadzić do szaleństwa. Ty płaczesz? Więc ty w istocie dla tego płaczesz, że ja się grubiańsko z tobą obszedłem? A ja przysięgałem, że nigdy ani jednej łzy nie wycisnę z twych oczu! O! kochanko moja, najdroższa moja, przebac mi, przebac!

Łzy młodej kobiety zamieniły się w uśmiech pełen anielskiej słodyczy.

— Przestraszyłeś mię, rzekła, ale to już minęło. Zanadto wszystko bierzesz do serca Filipie.

— Czy tak? Bądź dla mnie wyrozumiałą, Elsie. Bądź wyrozumiałą, bo gdybym cię mniej kochał, nie brałbym tak wszystkiego do serca. Osusz twe oczęta, i nie myśl więcej o tem, droga moja biedaczko!

— Litujesz się nademną? rzekła zupełnie już rozpromieniona i szczęśliwa, upewniam cię, że to wcale zbyt uczucie; a patrz! oto jest pierścionek: zsunął się nienaruszony za kratę.

— Daj mi go, rzekł Filip wyciągając rękę, ogłoszę go w miejscowym dzienniku. Wiesz, że staw księdza opata używa pewnej sławy; ale ja teraz temu koniec położę, i zagrozę pole.

— Oto jest, rzekła Elsie, przecie nie gorący.

— Nie; dla czego?

— Zdawało mi się, żeś drgnął, jak gdyby ci sparzył palce.

— Nazajutrz pani Denbigh zapytała swego męża, czy zrobił ogłoszenie; on odpowiedział jej krótko, że wszystko już załatwione, a ona będąc kobietą z natury uległą i nie zbyt ciekawą, poprzestała na tej odpowiedzi.

### ROZDZIAŁ III.

Po co ta tajemnica? Ja nie lubię tajemnic!

Upłynął miodowy miesiąc, odbyto szereg ślubnych wizyt, i doktor z młodą małżonką rozpoczęli spokojne domowe życie. Filip Denbigh dobrze powiedział, że Elsie była jedyną w świecie kobietą dla niego, a każda godzina w ścisłym małżeńskim związku z nią przeżyta, zwiększała jego namiętne do niej przywiązanie. Charakter jego, pod każdym wzglę-

dem silny i w sobie zamknięty, czuł szczególną potrzebę spoczęcia na „miękkim wezwłowie niewieściej duszy“, a Elsie, chociaż o wiele niższa umysłem od męża, wkrótce się nauczyła pojmować przedmioty, które go zajmowały, i polubiła je zarówno dla nich samych jak dla jego miłości. A jednakże chociaż każda godzina przynosiła jej nowe dowody miłości męża, chociaż widziała, jak serdeczne spojrzenia jego szukały jej, ilekroć znajdowali się razem w towarzystwie, i głos jej zawsze najpierwej uszu jego dochodził. Elsie w przeciągu pierwszego roku swego pożycia małżeńskiego przyszła do przekonania, że mąż jej, z powodów niepojętych dla niej, wcale nie był szczęśliwym, nadto, że nie ufał jej zupełnie. Z niespokojną ciekawością oglądał adres każdego przyniesionego do niej listu, i miał zwyczaj wybadywać ją szczegółowo z podejrzliwością, którą napróżno ukryć usiłował, co robiła i kogo widziała podczas jego nieobecności; zdarzało się często, że powracał do tego przedmiotu w parę godzin po skończeniu jej prostego opowiadania, zagadując ją z nienacką, jak gdyby ją posadzał o zatajenie czegoś. Nie jeden raz przypadkowa niedokładność w jej sprawozdaniu wywołała szaloną burzę podobną do tej, jaką doświadczyła w dzień znalezienia pierścionka z rubinem; ale zawsze potem tak żałował swego niedorzecznego uniesienia, tak mu było przykro, że ją zmartwił, że Elsie przyzwyczaiła się obawiać tych scen daleko więcej dla niego, niż dla przemijającej przykrości, jaką jej samej sprawiały.

Z początku zdawało jej się zawsze, iż sama jest mimowolnie winną tych osobliwych wybuchów gwałtowności; lecz niebawem z pewną gorzką pociechą usłyszała, w jaki sposób fantastyczne i podejrzliwe postępowanie pana sądzone było w kuchni.

— Nie wiem doprawdy, co jemu się stało — mówiła stara Isott ze szczerą rubasznoscią. — To zwaryjować trzeba. Już mi ze sto razy w tym roku tak powiedział, jak gdyby ja chciała go oszukać. Ja mu też powiedziałam, że będąc młodą, nigdy nie kłamałam, i teraz nie zacznę, kiedy niedługo przyjdzie zdać rachunek ze wszystkich grzechów. Oho! pan teraz ani przez połowę nie jest takim gentlemanem, jakim był dawniej, powiem to, choćby mi nie wiem kto miał usłyszeć.

Pomimo tego gderania jednakże, stara Isott ostro karcila swe podwładne, jeżeli która w jej obecności pozwoliła sobie uwag podobnych.

Pewnego gorącego sierpniowego dnia po południu, kiedy ziemia zdawała się dyszeć pod palącymi promieniami słońca, pan Denbigh dążył śpiesznym krokiem przez pole ku domowi. Ucinał sobie tym sposobem kawał drogi od sąsiedniego miasteczka, ale ostatnimi czasy, rzadko tej drogi używał. Tą razą przebiegł prawie klusem łęką, przeskoczył niski parkan ogrodu, i w mgnieniu oka był pod oknem saloniku żony. Żaluzyje od południa były spuszczone, a pokój miał pozór milej świeżości w zielonem półcieniu; bukiety z róż, jaśminu i werbeny miłą wonią napełniały powietrze. Elsie, w białej lekkiej sukni siedziała przy otwartem oknie. Już chciała wykrzy-



knąć, ujrawszy znużoną twarz i strapiiony wzrok męża, gdy on zamknął jej usta.

— Nie mogę się zatrzymywać, rzekł. — Przybiegłem tylko powiedzieć ci, że moje smutne obawy sprawdziły się. Owe dzieci Bazyledja mają z pewnością tyfoidalną gorączkę, i to bardzo złośliwą. Ten biedny chłopczyna już nie żyje, a pozostałe czworo źle się mają. Ci ludzie są szaleni! Wtenczas dopiero wzywają pomocy, kiedy już zapóźno!

— O mój Boże!

— W tych ciasnych uliczkach zaraza rozszerzy się z szybkością gregoryjańskiego ognia. Przed tygodniem objawiła się w fabrycznych zakładach w Slowcombe.

— Czy z tego powodu będziesz miał więcej zajęć?

— Rozumie się. Posłałem już po pomoćnika do Brichamu, ale zacem przybędzie, sam muszę być wszędzie; nie czekaj więc na mnie z obiadem.

— Wstąpić choć i zjedz kawałek baraniej pieczeni? Nie? Może zimnego mięsa? To choć kieliszek wina? mówiła Elsie, zmniejszając swoje ofiary, gdy on wstrząsał na wszystko przeczącą głową.

— Będę robił, co będę mógł; tylko najdroższa moja, nie turbuj się o mnie, a nadewszystko nie czuwać w nocy.

— Ale czyliż nie mogę uczynić czego dla tych biednych ludzi? Czy im nie brakuje czego?

— Wszystkiego im brakuje! Idź do pani Carter, kochanko, to zobaczysz ile dokazać zdoła przemyśl kobiecy dla ratowania chorych, a nadewszystko dla żywienia i pielęgnowania tych, którzy jeszcze są zdrowi; ostrożności są zbawienniejsze od leków. Tylko w żadnym razie nie pozwól, abyś się narażała na najmniejsze niebezpieczeństwo; pamiętaj o tem.

Przez dwa następne miesiące, pani Denbigh rzadko kiedy widywała swego męża, chociaż wiele o nim słyszała i to zawsze z uwielbieniem i błogosławieństwem. Staczał on zaciętą walkę z zarazą, wzywając na pomoc całą potęgę nauki, wspartej znaną jego zdolnością i wytrwałością. Chociaż miał więcej zajęć, jak siły ludzkie podolać mogą, nikt nie został zaniedbanym, najmniejsza nie wydarzyła się pomyłka, nikt nie mógł narzekać na zapomnienie, albo zbyt ni pośpiech ze strony doktora, i wielu z tych, którzy stali nad grobem, powróconych zostało do życia. Pan Denbigh w istocie zdawał się obchodzić bez jedzenia i spania, a nawet kiedy pomoc mu nadeszła z różnych stron, on wpadał tylko do domu, aby przekazać co napręde, wziąć chłodną kąpiel, przespać się godzinę, a co najważniejsze, uściskać żonę, co jak jej powtarzał, więcej dla niego znaczyło niż sen.

Z nadejściem chłodniejszych dni październikowych, zaraza się zmniejszyła, świeże wypadki coraz rzadziej się przytrafiały, a chorzy prędzej przychodzili do zdrowia. Żona wikarego, która urządziła bezpłatną aptekę, podczas gdy pani Denbigh zajmowała się wydawaniem żywności dla potrzebujących, oświadczyła, że wypada im raczej teraz zjednoczyć do tego ostatniego celu wspólne siły, większa bowiem część konwalescentów potrzebuje fizycznego, to jest kuchennego posiłku. Przy-

szedł na koniec dzień, kiedy pan Denbigh, powróciwszy o zmierzchu do domu, oświadczył swej uradowanej małżonce, że już tego wieczoru nie wyjdzie bez szczególnego wezwania.

— Nie troszcz się o obiad, Elsie, rzekł; jeżeli ty już po obiedzie, dla mnie dostateczną będzie herbata.

I to powiedziawszy, poszedł do swego pokoju. Gdy wrócił do żony, jej pokój jaśniał podwójnem światłem świec i kominkowego ognia; story były spuszczone dla stłumienia reszty posępnego światła dziennego, poręczowe krzesło zachęcająco przysunięte do ognia; a doborowy serwis porcelanowy do herbaty ustawiony na przeznaczonym do tego stoliku, zdaleka wydawał nęcący zapach. Sama Elsie, klęcząc przed kominkiem, poprawiała węgle, aby się lepiej paliły, a błękitnawy płomień padał na jej lśniące włosy i nieliczne złote ozdoby, któremi zmniejszyła surowość czarnej skromnej sukienki. To wszystko tworzyło całość pełną uroku, prawdziwy obraz domowego szczęścia, i Filip Denbigh zdawał się zupełnie oddawać miłym wrażeniom obecnej chwili, rzucając się w swe poręczowe krzesło dla życia tak dobrze zasłużonego spoczynku.

— Dziękuję ci, rzekł unosząc się trochę, gdy mu żona przysunęła stoliczek zastawiony ulubionemi jego przysmakami; ja to raczej powinienbym tobie usługiwać, mój aniołku; ale jestem dziwnie jakoś znużony.

— Nie ma w tem nic dziwnego; ale czy to tylko znużenie, czy nie jesteś słaby? zapytała nagle zaniepokojona. O Filipie! jakże rozpaloną masz głowę!

Spostrzegła także, iż tylko dotknął potraw, tak starannie przez starą Isott przyrządzonych; na koniec sam przyznał, że jeść nie może.

— Ale nie trwóż się Elsie, rzekł z uśmiechem. Moja godzina jeszcze nie wybiła.

— Nie podobna mi być spokojną, odpowiedziała, chociaż to brak wiary z mej strony, kiedy tyle modłów idzie za tobą w niebiosa. Gdybyś tylko słyszał Filipie, jak o tobie mówią te biedne matki! Jak ci są wdzięczne!

— Wdzięczne? Boże im dopomóż, biedaczkom! nie bardzo mają za co mi być wdzięczne. Czy myślisz, że wiele z pomiędzy nich ma życie tak miłe, aby zachowanie jego warte było wielkiej wdzięczności?

— Większa część, prawie wszyscy, pewną tego jestem. Najbiedniejsze z nich mają jakiś przedmiot miłości, mają zatem żyć dla czego. My przynajmniej oboje, Filipie, ty i ja, nie powinniśmy nigdy poddawać wątpliwości znaczenia życia.

— Niech i tak będzie; jednakże ja, ilekroć chorobę zwalczyłem, zapytywałem sam siebie: czy to dziecko — jak wiesz najwięcej dzieci chorowało — czy to dziecko mówię, nie będzie mi kiedy przeklinało, że go od śmierci ocaliłem.

— O! przypuszczam, że o dziecku czasem tak pomyśleć można, jednak to zawsze grzeszne uczucie, nieprawdaż? Bóg, który ci pozwolił ocalić je, uczynił to zapewne w jakim mądrym i dobrym celu, i dla ich własnego szczęścia.

— Wszystko to loteryja, rzekł posępnie pan Denbigh; okoliczności robią grzesznika lub świętego. Czy sądzisz, że Kaim lub Judasz, albo

inni jeszcze, których imiona stały się przysłowiem na oznaczenie wszystkiego co złe, byli rzeczywiście gorszymi od tysiąca szanownych ludzi, którzy się cieszyli poważaniem ogólnem, i których śmierć powszechnie opłakiwano? Bynajmniej! Wszystko zależy od wielkości pokusy, jaką człowiek na swej drodze spotyka.

— Przecież nie jesteśmy wszyscy igraszką wypadku, rzekła nieco zrażona Elsie; przecież Bóg zsyła na nas próby według tego co, w mądrości swej za najlepsze dla nas uważa?

— Zapewne, to właściwa teoria; ja, wiem o tem, i pocieszająca nawet, bo odejmuje ludzkości wszelką odpowiedzialność. Jeżeli wszechmocność i wszystkowiedza kierują scenami dramatu życia, cóż może być wygodniejszego. Człowiek jest tylko maryjonetką w ich rękach; niechże za niego odpowiadają.

Filip Denbigh mówił z goryczą, bez związku; Elsie milczała przez chwilę, niemile dotknięta jego dowodzeniem.

— Nie poznaję cię dziś, Filipie, rzekła na koniec, wpatrując się w niego niespokojnie; jesteś zanadto zmieniony i rozdrażniony. Może się położysz do łóżka? Pomyśl, jak już dawno nie miałeś jednej nocy nieprzerwanego spoczynku. Pewną jestem, że jutro w jaśniejszych barwach będziesz widział życie i całą ludzkość.

— Tak, już dawno nie słyszałem cię śpiewającą, odpowiedział. Czy nie masz przypadkiem jakich kościelnych hymnów? Do takiej dziś tylko usposobiony jestem muzyki.

Elsie poszukała pomiędzy swemi nutami, i niebawem słodki jej głos zaintonował *Dies irae* z poważną rzewnością, zastosowaną do szerokiej żałobnej melodyi i tkliwych słów, w których wiara i nadzieja staczają walkę z czemś podobnem do rozpacz. Filip Denbigh wsparł głowę na dłoni wśluchiwał się głęboko w błagalne wzywania każdego wiersza.

„Szukając mnie znużyły się Twe stopy  
Na krzyżu dusza Twa śmierci zakosztowała,  
Nie dozwól aby wszystkie twem oki próżnemi były.“

Śpiewała Elsie, a gdy umilkły ostatnie dźwięki jej głosu, Filip zerwał się nagle, mówiąc:

— Bardzo zmęczony jestem, droga Elsie i głowa mię boli. Pójdę się położyć.

Żona wkrótce to samo uczyniła, ale przed północą strwożona przybiegła do pokoiku starej Isott. Mąż jej po krótkim śnie przebudził się z silniejszym bólem głowy i był tak rozgorączkowany, że pani Denbigh okropnie się przestraszyła. Był jednak zupełnie przytomny i ani słuchać nie chciał, żeby posyłała po pana Scotta; ona zaś nie miała w panu Scocie tak wielkiego zaufania, żeby koniecznie na to nastawać, i uspokoiła się nieco zapewnieniem starej sługi, że to wszystko było tylko skutkiem wielkiego znużenia. Przyrządziła mężowi filiżankę herbaty, którą wypiłszy, usnął znowu. Jednakże sen jego tak był niespokojny, że pani Denbigh już się nie położyła, tylko przez resztę nocy przesiadywała razem ze starą sługą przy kominku w drugim pokoju.

— Zdaje się przykre mieć marzenia i taki rozgorączkowany, szepnęła. Czy w istocie nie myślisz, żeby się to na co złego zanośliło, Isott?



— Tak mi Panie Boże dopomóż że nie, odrzekła stara uspokajając swą panią; strasznie się utrudził, oto i cała rzecz. Mnie się widzi że już od dawna jest jakiś nie swój.

— I ja już to spostrzegałam, rzekła pani Denbigh, zbyt sama zaniepokojona, żeby nie być otwartą względem tej starej doświadczonej przyjaciółki męża. Uważam w nim jakiś tajemny niepokój, o! już od dawna!

I to mówiąc, spojrzała przez otwarte drzwi na łóżko, na którym Filip Denbigh rzucał się niespokojnie.

— Moja droga pani, rzekła tajemniczo Isott, on panią kocha nad wszystko w świecie, i jakkolwiek jest powód jego udręki, nie ma w tem nie takiego o cobyś pani mogła być zazdrosną; bądź pani tego pewną.

— O zapewne! odrzekła Elsie uśmiechając się na tak niedorzeczne przypuszczenie.

— Otóż więc, mówiła dalej stara kobieta, przypuściwszy, że chowa przed panią jakąś tajemnicę, ponieważ to nie takiego, żeby tylko raz się odważył i wyznał ją przed panią, z pewnością lżejby mu było.

Pani Denbigh spojrzała zadziwiona na starą służkę, sama niewiedząc co na to powiedzieć, a Isott szybko dodała:

— Może ze mnie stara waryjotka, ale ja pewną jestem, że on się odmienił od tego czasu jak ten nieznajomy gentleman był tutaj, wieczorem w wigilię państwa ślubu. Jakto? on pani nie o tem nie mówił, he? dodała widząc zdumione spojrzenie swej pani.

— Podobno że nie, rzekła pani Denbigh, zbierając całą swoją słodką powagę, dla tego też nie mów mi nic, Isott, bo nie chciałabym się od kogo innego, jak od niego dowiedzieć.

— Bóg z panią, ja też i nie mam nic do powiedzenia pani. Tylko że tego dnia czuwałam późno w noc i tam u siebie prasowałam koszulę Jonatana, gdy zobaczyłam światło w apteczce, a spojrzawszy w okno, spostrzegłam pana, jak rozmawiał z jakimś nieznajomym gentlemanem. I oto wszystko, moja droga pani.

— To nie wiele. Nie rozumiem nawet dla czego mi mówisz o tem, co jest rzeczą tak zwyczajną.

— Obcych ludzi mało bywa w Sedgebrook, odparła porywczo Isott, a jeszcze takich jak ten, z twarzą zarośniętą po same oczy, i włosami Bóg wie jak długimi, i ze skórą ciemną jak ta cerata na stole. Chociaż nie bardzo mu się przypatrywałam, bo patrzyłam na pana, i jak mnie pani tu żywą widzisz, tak ten człowiek przyniósł jakieś złe wiadomości, bo jak żyję, nie widziałam pana tak zmienionego, jak wtenczas.

Pani Denbigh była niezadowolona. Pojmowała, że nie wypadało jej rozprawiać o męzowskich interesach, nawet z tak doświadczoną służką, jak Isott, i wyrzucając sobie, że tak długo słuchała jej gadaniny, rzekła:

— To dobrze, jak mój mąż będzie zdrow, zapytam go o tego pana niezawodnie.

— Zrób to pani, zrób koniecznie, nagliła Isott. Teraz powiem dla czego to wszystko pani mówiłam. Przypuśćmy na przykład, że pan zadłużył się na urządzenie tego wszystkiego,

albo też, że wpłatał się w jaką intrygę, przed zaręczeniem się z panią. Boże odpuść! młodemu nigdy nie można dowierzać! Otóż, nie w tem dziwnego, że nie rad byłby, aby się pani o tem dowiedziała, a przysięgłabym że ów kudłaty jegomość przyszedł męczyć go o pieniądze, albo też jakim sposobem chciał przeszkodzić jego małżeństwu z panią. Tak więc, niech kochana pani stara się nakłonić go, aby się wypowiedział ze wszystkiego, bo to kadecznie przykro człowiekowi, kiedy musi się z czem ukrywać przed swoją panią. Ale sz! pan się budzi!

Istotnie Filip Denbigh przebudził się nagle, a gdy Elsie przystąpiła do niego, zastała go siedzącego na łóżku, i dosłyszała jak dysząc, powtarzał szybko te wyrazy: „Nie lękajcie się tych, którzy zabijają ciało—ale tego lękajcie się, który duszę razem z ciałem, mocen jest wrzucić do piekielnych otchłani.”

Elsie zadrżała przejęta zgrozą i trwogą; ale Filip natychmiast przyszedł do siebie, i rzekł naturalnym głosem, kładąc się napowrót na poduszki:

— Dla czegożes ty nie w łóżku o tej godzinie Elsie?

— Byłeś cierpiący, usiłując nadać pewność swemu głosowi; lecz jakkolwiek przyćmione światło panowało w pokoju, nie uszło uwagi Filipa jej wyleknione spojrzenie, i natychmiast zapytał jej ze zwykłą w takich razach porywczością:

— Com ja mówił takiego, że tak na mnie patrzysz?

— Nic, kochanku. Jakies ustępy z Biblii musiały ci się snuć po głowie, nie więcej?..

— Nie więcej?.. z pewnością? Przycisnął jej dłoń do swego rozpalonego czoła, zdając się zbierać rozpieczęte myśli. Posłuchaj mnie Elsie, rzekł po chwili. Ja sędzę, że ten ból głowy i stan gorączkowy, są tylko skutkiem znużenia i bezsenności, ale może to być i tyfus. Gdyby tak było, musisz mi zrobić jedno przyrzeczenie. Niech Isott mnie pielęgnuje, nie pozwól nikomu inszemu wchodzić do mego pokoju i sama nie zbliżaj się do mnie. Przyrzeknij mi to!

— Tego przyrzec nie mogę. Jakże możesz nawet żądać tego odemnie? zawołała boleśnie dotknięta. Czyliżbyś sam nie pogardził żoną, któraby uczyniła taką obietnicę i dotrzymała słowa?..

— Przyrzeknij! powtórzył. Elsie, twoja odmowa powiększa moją gorączkę; może mnie doprowadzić do szaleństwa! ty sama nie wiesz co czynisz. Przyrzeknij to, o co cię prosię! Przekonana, że był w malignie, Elsie dała żadaną obietnicę, w tej myśli, że nie czyni nic złego, chociaż nie ma zamiaru jej dotrzymać.

— Ale mam nadzieję że jutro będziesz zdrowszy, odrzekła przymuszając się do spokojnego uśmiechu. Isott utrzymuje, że cię te wszystkie trudy z nóg zbiły.

— I ja też tak sędzę, potwierdził, a trzymając ciągle jej rękę w swoich dłoniach, wkrótce zasnął znowu; tym razem trochę spokojniej, chociaż ciągle stękał i mruczał przez

sen. A ilekroć się przebudził, pierwsze jego pytanie było:

— Co ja mówiłem?

Nad ranem uspokoił się, i Elsie z radością zauważyła, że czoło jego i ręce były chłodniejsze i twarz pogodniejsza. Zbliżyła się do okna i uchyliła firankę, aby wyrzucić na świat, który jaśniejszą barwą zaczynał powlekać niebo, a oparłszy czoło o szybę, zadumała się o wnioskach starej Isott. Znajdowała pewną pociechę w tem przypuszczeniu, że jaki dawny dług, lub młodzieńczy wybryk był przyczyną dziwnego niepokoju jej męża. Tym sposobem wszystko byłoby wytłomaczone. Jego podejrzliwość, jego zazdrosna obawa, aby ona czego nie spostrzegła lub niedosłyszała, byłyby łatwe do pojęcia jeżeli ukrywał przed nią jakąś tajemnicę. Oczy młodej kobiety napełniły się łzami błogiej nadziei, gdy sobie wyobraziła jak pozyska jego zupełną ufność, i jak w zamian za nią zapewni go całym sercem, że żaden wybryk, żadne szaleństwo, żaden błąd młodzieńczy nie zdoła ani na jotę zniweczyć jej miłości, ani osłabić jej szacunku dla niego. Jak tylko będzie zdrow, myślała sobie: zapytam go co ma na sercu, a jeżeli mi powie, wszystko będzie dobrze.

Tak sobie marzyła Elsie Denbigh, podczas gdy w głębi pokoju mąż jej rzucał się dręczony gorączkowymi marzeniami, a na dworze zarumienione niebo odbijało się w czarnych wodach stawu księdza opata. d. n.

## OD REDAKCYI.

Z łaskawemi Czytelnikami naszymi musimy się dziś podzielić dobrą dla pisma nowiną. Zawarliśmy oto spółkę wydawniczą z p. *Julianem Korzeniewskim*, w którego drukarni odbijał się już właśnie dzisiejszy numer „*Opiekuna*.” To przeprowadzenie się do innego zakładu drukarskiego, spowodowało opóźnienie się pisma; opóźnienie to jednak nie powtórzy się mamy nadzieję więcej i odtąd „*Opiekun*” najregularniej dochodzić będzie PP. Prenumeratorów.

„*Opiekun*” będzie pismem ilustrowanem; z początku, który zwykle jest najtrudniejszy, ilustracje nasze, niewyrównają zapewne ilustracyjom jakie posiadamy. Zwolna a ciągle dążyć jednak usilnie ku temu będziemy, ażeby i artystyczną część „*Opiekuna*” doprowadzić do możliwej doskonałości.

Nie rozpisując się wreszcie szeroko o zabiegach przedsięwziętych ku podniesieniu literackiej wartości pisma, nie możemy przemilczeć że znakomity powieściopisarz J. I. Kraszewski, w skutku przyjętej łaskawie prośby naszej, staje odtąd w liczbie stałych współpracowników „*Opiekuna*”—a pierwsza praca jego niebawem się w piśmie ukaże.